WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 3 (381) 19 stycznia 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO KULTURALNY

JOLANTA MARCINIAK z Warszawy — zdobywczyni I miejsca na VII Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich w Krakowie.
CAF — GŁADYSZ

Zbigniew Wawszczak

„...tu cudzoziemka leżę pogrzebiona..."

(O romantycznej historii sprzed stuleci i dzisiejszym Baranowie)

Jeden z rodaków, spisujący na początku naszego stulecia kronikę Baranowa, noszący nazwisko, zapisane złotymi zgłoskami w dziejach sztuki polskiej, Juliusz Dunikowski, powołując się na nieokreślone bliżej publikacje, utrzymuje, że osada i zamek, dający początek dzisiejszemu miasteczku, powstały jeszcze za czasów Bolesława Krzywoustego, a zbudował je Bogusław Jaksa, rządca ziemi pomorskiej, rękami wziętych do niewoli Pomorzan.

Prawdziwy jednak rozkwit osiągnął Baranów pod koniec XVI stulecia, kiedy klucz baranowski znalazł się w rękach możnego rodu Leszczyńskich. Jeden z Leszczyńskich, Andrzej, wojewoda brzesko-kujawski, znakomity żołnierz, przekształcił Baranów w ośrodek nauki i kultury wysokiej klasy. On to powierzył nieznanemu z nazwiska, znakomitemu budowniczemu budowę wspaniałego zamku, który doskonałością swych kształtów mógł współzawodniczyć z siedzibą królewską na Wawelu. Zagorzały wyznawca nauki Kalwina, zakłada w miasteczku drukarnię, która staje się znanym w kraju ośrodkiem naukowym. Tutaj drukuje się dzieła wybitnych przedstawicieli ruchu reformacyjnego, dzieła zaliczane dzisiaj do rzędu prawdziwych białych kruków...

I oto drugi raz zdaje się przeżywać miasteczko okres prosperity, już w naszych czasach. Po części za sprawą siarki, którą odkryto nieoczekiwanie w latach pięćdziesiątych, w niedalekim sąsiedztwie Baranowa. Nie na próżno stara legenda głosi, że w zamierzchłych czasach, w podziemiach baranowskiego zamku żył straszliwy smok, delektujący się, co urodziwszymi dziewojami ze służby. Potwora zgładził zwykły kowal, w zamian za co obrany został panem zamku, rządził długo i sprawiedliwie. A na dowód, że wiadomość ta jest prawdziwą, pokazywano w zamku, jeszcze podobno w naszych czasach olbrzymią kość, resztkę doczesnych szczątków potwora.

Po wiekach, niespodziewanie natknięto się na ukryte głęboko pod ziemią skarby baranowskiego smoka, złoża siarki i za sprawą tegoż podupadający, chylący się ku ruinie prastary zamek ślicznej roboty został przez Polskę Ludową uratowany i przywrócony do nieznanej od stuleci świetności.

A miasteczko równa powoli do zamku i chociaż do końca tego procesu daleko, najważniejsze, że się rozpoczął. Jeżeli kiedyś jakiś kronikarz pisać będzie o początkach drugiego renesansu Baranowa, z pewnością natknie się na nazwisko Zdzisława Krawczuka — przewodniczącego MRN. Nie chciałbym, aby czytając te słowa, czytelnik odniósł wrażenie, że uprawiam tu dosyć krótkowzrocznie swego rodzaju „kult jednostki". Śpieszę więc z postawieniem kropki nad i: Krawczuk sam niczego by w Baranowie nie zdziałał, ani nie potrafiłby doprowadzić do starannego uporządkowania miasteczka, założenia skwerów i chodników, odnowienia domków, wyremontowania domu kultury, rozkręcenia życia kulturalnego itp. Krawczuk tylko potrafił zobaczyć te, wydawałoby się leżące po prostu na ulicy cele, — potrafił przekonać do ich realizacji szeroki aktyw miasteczkowy, umiał wciągnąć do dzieła unowocześnienia sędziwego grodu istniejące tu nie od dzisiaj organizacje społeczno-polityczne.

— Najpierw przystąpiliśmy do ogłoszonego przez WK FJN konkursu „upiększamy ziemię rzeszowską" — tłumaczy mi Krawczuk — sukces zachęcił nas z kolei do startu w krajowym konkursie „mistrza gospodarności".

— No, ale w jaki sposób przekonaliście ludzi, jak do nich trafiliście — dopytuję się ogromnie ciekaw owego pierwszego kroku.

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Jerzy Urban

Perspektywy

SLALOM WŚRÓD ZNAKÓW ZAPYTANIA

Program rozwojowy kraju na lata najbliższe, nakreślony w roku ubiegłym przez V Zjazd PZPR, obecnie będzie konkretyzowany w programie wyborczym i w nowym planie pięcioletnim. Z tego co się stanie w trakcie najbliższego pięciolecia można w pewnym stopniu wyczytać, jak będzie nam się żyło za lat piętnaście z okładem. Oszacowano więc, zakładając, że w przemyśle dokonają się odpowiednie zaprogramowane przesunięcia strukturalne, a tempo wzmagania się produkcji będzie odpowiednio narastać, iż w roku 1985 Polska będzie zmotoryzowana tak, jak dzisiejsze Włochy, że ponad 95 proc. rodzin (więc już chyba wszystkie mające na to ochotę) będzie dysponowało telewizorami, około 70 proc. rodzin — lodówkami, że zużywać będziemy w życiu codziennym pięć razy więcej niż dziś chemikaliów, że podwoi się liczba studentów, a zdziesięciokrotnią w porównaniu ze współczesnością nakłady finansowe na badania naukowe i szkolnictwo wyższe. Te i inne przewidywania wynikają z prostego kumulowania się planowanych efektów przyszłych pięciolatek. Ale o wiele mniej wiadomo o tym, jak ułożą się sprawy w płaszczyźnie równie istotnej, choć nie tak konkretnej jak lodówki.

JAKI MODEL KONSUMPCJI?

Dobrobyt, ale jak go sobie właściwie wyobrażamy? Jaki jego kształt zechcemy uznać za cel naszych działań gospodarczych? Czy kopiować (korygując i ulepszając) te wzorce i proporcje spożycia, jakie istnieją w krajach od nas bogatszych i uznać ten rodzaj konsumpcji za wzorzec naszego przyszłego modelu pożywania owoców cywilizacji i postępu? Czy może przeciwnie (a istnieją u nas zwolennicy takiego poglądu) — odciąć się generalnie od modeli konsumpcji wykształconych w kapitalizmie i konstruować nasz własny, zupełnie odmienny? Czy ten nasz ma być nie tylko bardziej sprawiedliwy w sposobie rozdziału dóbr (bo co do tego nie ma wątpliwości), czy również zupełnie odmienny, albo może nie odmienny, tylko po prostu obfitszy? Czy większość środków przeznaczać na rozszerzanie spożycia zbiorowego — bezpłatnego lub niskopłatnego i każdemu dostępnego, czy ograniczać dziedziny, gdzie spożywanie jest zbiorowe, a powiększać spożycie indywidualne, mające ten walor, że daje człowiekowi większe możliwości samodzielnego wyboru, na co chce obrócić owoce swej pracy. Czy za rosnące w przyszłości zarobki chcemy kupować przede wszystkim przedmioty, czy wrażenia? Czy chcemy więcej pracować, więcej produkować i w rezultacie więcej konsumować, czy wolimy, po osiągnięciu umiarkowanego dobrobytu raczej zdobyć znaczniejsze ilości czasu wolnego? Na czym więc nam bardziej zależy: na większym dobrobycie czy na dłuższym wypoczynku? Czy chcemy, żeby dzień roboczy był coraz krótszy, czy żeby tydzień roboczy był coraz krótszy, by wzrastała w przyszłości liczba dni wolnych w ogóle od pracy? Czy pragniemy mieszkać w miastach, czy na przedmieściach i jaki model urbanizacji obrać? Czy zarobki mają być dzielone nadal, choć doskonalej, przede wszystkim wedle pracy i kwalifikacji, czy też jest ważniejsze, by dzielone były coraz równiej?

Odpowiedź na mnogość tych pytań przesądzi o kształcie rozwoju naszego życia, szczególnie zaś modelu konsumpcji. I nie będzie miał racji ten, kto stwierdzi, że są to zmartwienia zbyt luksusowe jak na obecną chwilę i jak na te warunki, w których dziś żyjemy. Praca społeczeństwa jest środkiem służącym do osiągania celów, które trzeba możliwie precyzyjnie, a do tego i realnie zawczasu

(Ciąg dalszy na str. 2)

„...tu cudzoziemka leżę pogrzebiona..."

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Nie było to takie proste, ale znaleźliśmy w końcu skuteczne formy. Specjalna komisja, złożona z paru aktywistów, chodziła od domu do domu, oglądała dokładnie każdą posesję i ustalała dokładnie z właścicielem, co powinien zrobić. W uzasadnionych wypadkach trzeba było udzielić odpowiedniej pomocy. Każdy mieszkaniec podpisywał zobowiązanie, jakie roboty ma wykonać. I dopiero za taką cenę udało się powoli zmienić wygląd zewnętrzny Baranowa. Ale początek był zrobiony, przełamano opory, nieufność, przekonano mieszkańców, jak wiele mogą zrobić wspólnym wysiłkiem, własnymi siłami!

EKS-PARTYZANT I SPOŁECZNIK

Na trop Romana Brożyny, rolnika ponad sześćdziesięcioletniego mężczyznę, trafiłem przypadkowo. Oglądając z okien gabinetu przewodniczącego MRN równiutki, pusty o tej zimowej porze rynek, zwróciłem uwagę na skromny obelisk z białego kamienia.

— To pomnik, wystawiony bohaterom ostatniej wojny, w tym również żołnierzom Armii Radzieckiej, którzy zdobyli i utrzymywali przez kilka miesięcy, mimo zaciekłych kontrataków niemieckich, przyczółek baranowski — odpowiada na pytanie Krawczuk.

Przypominam sobie, że przyczółek baranowski odegrał niepoślednią rolę w dniach styczniowej ofensywy 1945 roku, ułatwiając żołnierzom z czerwonymi gwiazdami błyskawiczny rajd na zachód, w głąb pozostających jeszcze pod hitlerowską okupacją ziem polskich. A skoro pomnik, to oczywiście nie bez współudziału Brożyny, prezesa baranowskiego koła ZBoWiD-u. Nie koniec przecież na tym, nie ma w miasteczku sprawy, do której Brożyna nie dołożyłby swoich trzech groszy. Mieszka nieco na uboczu. Był łącznikiem w Batalionach Chłopskich, roznosił gazetki.

Po wojnie znalazł się Brożyna w gronie ludzi, którzy organizowali władzę ludową, przez pięć lat był zastępcą komendanta posterunku MO.

Jest wzorowym rolnikiem — nie darmo przez kilka lat pracował jako agronom — i mimo nawału roboty gospodarskiej, zawsze znajdzie czas na pracę społeczną. Prezesuje — oprócz ZBoWiD-u w miejscowym kole ZSL, piastuje funkcje w GS-ie, w Kasie Spółdzielczej, w spółdzielni ogrodniczej. Bardzo sobie ceni członkostwo ZBoWiD. Koło baranowskie zrzesza aż 47 członków, są wśród nich partyzanci, żołnierze odrodzonego WP i polskich oddziałów na Zachodzie. Jan Sulik był spadochroniarzem, Kucharski, Klarman szli do kraju przez Monte Cassino. Kombatanci wespół z MRN wznieśli na rynku ów pamiątkowy obelisk.

SKĄD TEN BARANÓW?

Obok Brożyny, mieszka w zasobnym, starym dworku rodzina Millerów. Pani Millerowa zapoznała mnie z genezą nazwy miasteczka. Opowiadał jej dziadek, że od dawna w stronach tych hodowano bardzo dużo baranów, co nie pozostawało również bez związku z obfitością pastwisk i łąk. I stąd miała powstać nazwa osady. Wywód pani Millerowej znajduje poparcie we wspomnianych już zapiskach kronikarskich Juliusza Dunikowskiego. Także położona po sąsiedzku miejscowość Skopanie wywodzi swą nazwę od skopów, czyli baranów!

PRZYSZŁOŚĆ BARANOWA

Ze Skopaniem łączą się pewne projekty dalszego rozwoju miasteczka. Niedługo ma nastąpić fuzja obydwu miejscowości. Krok taki pozwoliłby poważnie zwiększyć liczbę mieszkańców sławnego grodu Leszczyńskich, która w tej chwili nie przekracza półtora tysiąca.

A jakie są dalsze plany? Przewodniczący Krawczuk mówi, że Wojewódzka Pracownia Urbanistyczna opracowała plan przestrzennej zabudowy Baranowa jako miasta 20-tysięcznego, ośrodka obsługującego wraz z Tarnobrzegiem pęczniejące, rozrastające się z roku na rok zagłębie siarkowe. Taki plan został przed dwoma laty zatwierdzony. Tymczasem jednak rozgorzały dyskusje na temat, czy jest sens rozbudowywać małe miasteczko, nieuzbrojone, nie skanalizowane? Czy nie lepiej przeznaczyć środki na rozwój Tarnobrzega do rzędu miasta kilkudziesięciotysięcznego?

Tarnobrzeg rozwija się i nikt nie mógłby już dzisiaj tego przekreślić. Jednakże nadal tysiące robotników dowożą codziennie do pracy w Kopalniach i Zakładach Przetwórczych Siarki autokary z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Ten stan musi z czasem ulec zmianie, Tarnobrzeg nie potrafi sprostać wszystkim potrzebom. Więc istnieje realna szansa dla Baranowa, tym realniejsza, że miasteczko jest znacznie mniej zagrożone siarkowymi wyziewami aniżeli jego powiatowy sąsiad. W Baranowie wierzą, że nadejdzie dzień, kiedy na jego polach ruszy budowa nowoczesnych osiedli i jak starałem się to pokrótce wykazać, nie są to jedynie sentymentalne marzenia. Baranów czeka na jak najszybsze urzeczywistnienie przygotowanych planów. Bo obecnie wstrzymano w miasteczku wszelkie budowy, w żaden sposób niepodobna uzyskać zezwolenia na budowę chałupy. Nawet, gdy się rozwala. Więc zdarzają się wypadki, że ludzie, zniecierpliwieni budują bez zezwolenia. Wolą zapłacić parusetzłotową karę aniżeli czekać w nieskończoność! Jest to dzisiaj problem numer jeden w Baranowie: systematycznie napływa gotówka, zarabiana w zagłębiu siarkowym, mieszkańcy gromadzą materiały budowlane i niecierpliwie oczekują na zielone światło dla budownictwa indywidualnego.

ROMANTYCZNA HISTORIA SPRZED STULECI...

Dzieje Baranowa obfitują w wydarzenia godne uwagi. Za czasów, gdy zamkiem władała rodzina Krasickich, zgromadzono w nim cenne pamiątki po „księciu poetów", Ignacym, w postaci rękopisów, portretów, mebli. Niestety, fatalny pożar zniszczył w połowie ubiegłego stulecia bezpowrotnie pamiątki po jednym z najwybitniejszych pisarzy i myślicieli polskiego Oświecenia.

W kronice Juliusza Dunikowskiego natknąłem się na historię wielce romantyczną. W siedemnastym stuleciu mieszkała w tych stronach rodzina Otfinowskich, nie jestem pewien, czy nie byli to przodkowie popularnego krakowskiego pisarza Stefana (który jednakże pisze swoje nazwisko przez w (Otwinowski!). Hipoteza ta w niczym nie uwłacza panu Stefanowi, okazuje się bowiem, że owi siedemnastowieczni Otfinowscy parali się również literaturą, a jeden z nich, Walerian, przełożył z łaciny m. in. „Przemiany" Owidiusza i był wielce wymownym posłem!

Napis spisany z tablicy nagrobnej, który za Dunikowskim przytaczam, dotyczy jednak innego z Otfinowskich, Samuela.

Tu cudzoziemka leżę
pogrzebiona
Otfinowskiego Samuela żona,
który dla sprawy języków
pogańskich
siła lat trawiąc w państwach
Ottomańskich
mnie polubiwszy z dobrych
obyczajów
wziął tam w małżeństwo
i wniósł do tych krajów,
cnotę mi cnotą oddawał
wzajemną
i tu mnie chrześcijańską
pogrzebł prawą.
Roku Pańskiego 1640, miesiąca
lutego, dnia 16.

Aby było romantyczniej, legenda podaje, że ojciec owej wschodniej piękności, nie mogąc wybaczyć „niewiernemu giaurowi" uprowadzenia jedynej córki, ścigał go tak długo, aż dopadł go w Polsce (już po śmierci żony) i życia pozbawił. Nie wiem, jak było naprawdę, jedno wszakże nie ulega wątpliwości: kochliwi są ci Polacy. I dawniej i dziś. A współcześnie małoż to żon z różnych stron świata przywożą!

U POTOMKA SUKIENNIKÓW BARANOWSKICH

O jeszcze jednej wizycie chciałbym na zakończenie wspomnieć, u potomka sukienników baranowskich, pierwszego burmistrza po wyzwoleniu, Ludwika Lipskiego. Jeszcze jego dziad wyrabiał sukno, na dowód czego pan Lipski odszukał odpis statutu cechu sukienniczego, zmurszały ze starości. Rozwój przemysłu włókienniczego doprowadził do zaniku tego zawodu, Ludwik Lipski wyuczył się stolarki w znanym ośrodku meblarskim w Kalwarii Zebrzydowskiej. Oglądałem stylową, rzeźbioną szafkę na książki, dzieło pana Ludwika. Stolarstwo było jeszcze w czasach młodości Lipskiego powszechnym zawodem w Baranowie, byli również szewcy i kowale. Obecnie są to już zawody wymierające. Dzień dzisiejszy stwarza inne potrzeby, mieszkańcy wiekowego Baranowa obsługują dziś skomplikowane maszyny w zakładach i kopalniach przetwórczych siarki. A na czyściutko uprzątkowanych uliczkach miasteczka coraz częściej pojawiają się turyści, nie tylko z kraju, ale i z odległych krajów zagranicznych. Zamek jest wspaniałą perłą, która jak magnes ściąga przybyszów. Baranów czyni wiele, aby być godnie przygotowanym na przyjęcie gości. Przy finansowej pomocy „Siarki" buduje nowoczesny parking obok zamku.

Sądzę, że warto było pojechać do maleńkiego miasteczka, uczepionego nadwiślańskiej równiny, ponad którym wykwitają wspaniałe kontury zamku-muzeum. Baranów Sandomierski bierze energiczny udział w drugim etapie konkursu „Mistrz gospodarności"... Serdecznie życzymy sukcesu!

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Zamek w Baranowie. *Fot. M. KOPEC*

Slalom wśród znaków zapytania

(Ciąg dalszy ze str. 1)

formułować. Poza tym, jeśli dziś dyskutujemy i współdecydujemy o sprawach najbliższego pięciolecia — wiedzmy, że mimochodem w jakimś stopniu determinujemy również kształt dalszej przyszłości. Nigdy bowiem nie było i nie będzie tak, że o dalszym rozwoju można decydować zupełnie swobodnie. Zawsze dokonania dotychczasowe przesądzają w znacznym stopniu dalsze trendy rozwojowe.

WYBÓR UWARUNKOWANY

Dziś nasz niedostatecznie nowoczesny przemysł jest już nowocześniejszy niż społecznie realizowany model konsumpcji. To znaczy, że struktura spożycia jest zacofana wobec tych aktualnych, potencjalnych możliwości, jakie mieści w sobie dokonane uprzemysłowienie. Znajduje to głównie wyraz w tym, że około 47 proc. dochodów pieniężnych ludność Polski wydaje na żywność i proporcje między tym wydatkiem a resztą zmieniają się w ostatnich latach tak wolno, że można mówić o stagnacji struktury spożycia.

Konieczność wydatnej zmiany struktury spożycia jest właściwie bezdyskusyjnym zadaniem już na czas najbliższy. Ale kiedy struktura ta drgnie, skutkiem lepszego wypłacania się przez przemysł potrzebom społecznym — wcale szybko musimy decydować o dalszym nią sterowaniu i zaraz wiele z zaprezentowanych wyżej dylematów nabierze bezpośredniej aktualności.

Formułowane tu pytania konstruowane były na zasadzie „albo — albo". W praktyce wybory, których dokonujemy i dokonywać będziemy, nigdy nie są skrajne i nawet takimi być nie mogą. I dlatego, że godzić trzeba różne i rozbieżne ludzkie pragnienia. I dlatego, że to, co już zostało stworzone w gospodarce i stosunkach społecznych ogranicza swobodę, a na pewno dowolność decyzji.

Nie będziemy więc wybierać między zwiększonym wypoczynkiem a wzrostem produkcji, lecz stosować tu jakieś kompromisy i szukać sposobów, by w pożądanej skali osiągać zarazem i jedno, i drugie dobro. I dalej zapewne uznamy, że do pewnego stopnia należy skracać dzień pracy, a później już skracać tydzień pracy, albo przeciwnie. I przypuszczalnie rozwiniemy bezpłatne spożycie zbiorowe w działach lecznictwa i szkolnictwa, uznając, że w innych dziedzinach lepiej jest konsumpcję uprawiać na podstawie decyzji indywidualnych z pieniądzem w kieszeni, bo nie ma powodu, żeby społeczeństwo jako całość decydowało o tym, czy pan Kowalski powinien pierwej zdobić swoje mieszkanie, czy swoją osobę, tj. czy ma wpierw posiadać wazon na kwiaty, czy krawat. Ale mimo że realne decyzje społeczne na ogół nie odbywają się na zasadzie kategorycznych wyborów „albo — albo" — wiele jest do dyskutowania i decydowania, ustalania priorytetów i proporcji. Socjalizm bowiem ten ma walor, że niepomiernie zwiększa, w porównaniu z kapitalizmem, margines swobody w podejmowaniu takich decyzji, a to dlatego, że rozwój gospodarczo-społeczny mniej jest żywiołowy, bo planowany, i nie następuje narzucanie większości wyborów dokonanych w myśl interesów panującej mniejszości.

Kończę skłopotany, bo musnąłem ledwie problemy wielkie, doniosłe i godne myślowego drążenia. Ale może i takie ledwie dotknięcie, takie tylko wymienienie też będzie pożyteczne. Bo chodzi o to, byśmy w dyskusjach aktualnych mieli na oku i w wyobraźni dalsze horyzonty rozwojowe i szersze perspektywy.

JERZY URBAN

Samotny — naokoło świata

Ryszard Dzieszyński

Trzy lata temu zwiedzałem Stocznię Yacht-Clubu w Gdyni. Towarzyszący mi kolega, stały bywalec stoczni pokazywał na grupę ludzi skupionych koło jednego z kadłubów.

— „Ten chce popłynąć naokoło świata — powiedział. — Szalony pomysł. Na takiej łupince...?".

Przypomniałem sobie wtedy, że to wcale nie pierwsza próba, i dlaczego Polak nie miałby zdobyć się na taki wyczyn? W głębi serca zazdrościłem śmiałemu żeglarzowi wspaniałej podróży i przygód, jakie go oczekiwały na tak długiej trasie. Ale nie śmiałem oponować koledze, który na żeglarstwie znał się przecież lepiej ode mnie, a ja byłem zaprzysiężonym szczurem lądowym.

I oto w rok później dowiedziałem się, że ów szalony żeglarz powierzający swe życie wątłej łódeczce na wzburzonych falach mórz i oceanów, kpt. Leonid Teliga 27 stycznia 1967 r. wyruszył w najdłuższy w historii polskiego żeglarstwa samotny rejs dookoła świata.

Kimże jest ten dzielny i nieustraszony z narodu, który morskim ma prawo uważać się dopiero od lat 50? Narodu, który wprawdzie wydał Jana z Kolna, Adama Mierosławskiego i Józefa Conrada, ale który dopiero 20 lat temu zaczął budować potężną flotę handlową. Otóż Leonid Teliga pochodzi z Mazowsza. Urodził się w 1917 roku, uczęszczał do gimnazjum w Grodzisku Mazowieckim i tam zdał egzamin dojrzałości w 1935 r. Potem pojechał na obóz Akademickiego Związku Morskiego do Jastarni. Jeździł co rok. Bakcyl żeglarski, który tam połknął zamienił się w nieuleczalną miłość do morza.

Z chwilą wybuchu wojny w 1939 r. Teliga znalazł się na terytorium Związku Radzieckiego. Losy wojenne rzuciły go aż na Krym. Tam wstąpił do rybackiej floty czarnomorskiej i został szyprem kutra. Fakt powierzenia Telidze tak odpowiedzialnego stanowiska świadczy, jak wysoko ocenili Rosjanie jego umiejętności żeglarskie.

Przez dwa lata Teliga pływał na swym kutrze na Morzu Czarnym i łowił ryby. W czerwcu 1941 r. po zajęciu Krymu przez hitlerowców, przedostał się do Rostowa i brał udział w ewakuacji miasta. Potem znalazł się w głębi ZSRR. Gdy rozpoczęto organizację I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, zgłosił się na ochotnika. Ale na wieść o tworzeniu jednostek lotniczych LWP postarał się o zmianę przydziału. Po odbyciu przeszkolenia Teliga został pilotem Dywizjonu Myśliwskiego im. Ziemi Mazowieckiej w I Pułku Lotniczym „Warszawa" i brał m. in. udział w nalotach na Berlin.

Po wojnie Leonid Teliga został dziennikarzem. Jeździł na placówki do Korei, Italii i Laosu, jako korespondent prasowy. Jednocześnie zajmował się pracą literacką. W 1953 r. Wydawnictwo MON wydało jego książkę pt. „Roman Paziński". Był to zbeletryzowany życiorys oficera I Dywizji, komunisty, więźnia sanacji, który zginął bohaterską śmiercią w bitwie pod Lenino, prowadząc do ataku batalion, po śmierci jego dowódcy mjr Lachowicza. Paziński był jego zastępcą d/s politycznych i objął dowództwo w momencie krytycznym, kiedy pod nawałą ognia nieprzyjaciela batalion zaczął cofać się. Jego inicjatywa i osobisty przykład zmobilizowały żołnierzy do ostatecznego wysiłku i przechyliły szalę bitwy. Ale Paziński otrzymał dwie rany i zmarł z upływu krwi. Teliga zapewne stykał się z nim. Byli przecież żołnierzami jednej dywizji! Postać ta musiała mu być bliska, skoro podjął ten temat w 10-lecie śmierci Pazińskiego. Dzisiaj, portret Pazińskiego wisi na czołowym miejscu w Sali Historycznej I Dywizji Kościuszkowskiej, a każdy nowo przychodzący rekrut zapoznaje się z książką Teligi.

W 1954 r. Teliga wspólnie z Jerzym Wójcickim wydał książkę pt. „Pod skrzydłami żagli". Zawierała ona dwa opowiadania, z których jedno pt. „Załoga Irki" napisał Teliga. Powstało ono na kanwie wspomnień i wrażeń, jakie autor wyniósł z ośrodka żeglarstwa śródlądowego w Giżycku. Autor ogarnięty swą żeglarską pasją opisał proces kształtowania się osobowości żeglarza, oddając wiernie sportową i pełną koleżeństwa atmosferę obozu. W tym samym roku Teliga napisał również krótki rys historyczny żeglarstwa zamieszczony na wstępie do podręcznika żeglarstwa regatowego.

Liczne wyjazdy zagraniczne przerwały na dłuższy czas jego działalność literacką. Powrócił do niej w 1960 r., ale już jako tłumacz. Ukazały się wtedy dwie tłumaczone przezeń książki z języka angielskiego pt. „Doświadczenia Johna Reesa" oraz Kingstona „Dwukrotnie zaginiony", a w rok później — z języka rosyjskiego, Strugackiego „W krainie purpurowych obłoków".

I znowu Teliga zamilkł jako pisarz. Widocznie pasja żeglowania była silniejsza od pasji pisarskiej. Zresztą jako publicysta Teliga miał zawsze dużo pracy. Ale przede wszystkim zabierał się do budowania jachtu. Chciał zrealizować swoje największe marzenie: odbyć podróż dookoła świata.

W ciągu całej swojej kariery korespondenta prasowego Teliga ciułał przydzielane mu dewizy, będąc oszczędnym aż do granic skąpstwa. Teraz wszystkie oszczędności włożył w budowę jachtu. Inż. Leon Tumiłowicz jeszcze przed wojną skonstruował jacht, który nazwał „Konik Morski". Okazał się znakomity i Tumiłowicz rozpoczął seryjną produkcję. Teliga poznał go na obozie w Jastarni i wysoko cenił jachty jego konstrukcji. Po 30 latach zwrócił się do niego z propozycją, aby skonstruował nowy, ulepszony model „Konika". Tumiłowicz zabrał się do pracy. Przez długie wieczory ślęczał nad rysunkami. Potem obaj przystąpili do realizacji projektu. Na to konto Teliga wydał prawie całe honorarium autorskie, które otrzymał za książkę o rybołówstwie dalekomorskim pt. „Trawlerem do Afryki". Ukazała się ona w 1967 roku, kiedy autor był już na Atlantyku.

7 grudnia 1966 r. Leonid Teliga wypłynął z Gdyni — na razie na statku m/s „Słupsk", zdążającym do Casablanki. Razem z nim płynął jacht „Opty". Miał on 10 metrów długości, prawie 3 metry szerokości, 1,5 metra zanurzenia, 5 ton wyporności, dwa maszty z ożaglowaniem oraz silnik. W styczniu 1967 r. statek dotarł do Casablanki, tam jacht został wodowany i po usunięciu drobnych usterek Teliga wyruszył w drogę.

Przed odpłynięciem zorganizował konferencję prasową, na którą zjawili się przedstawiciele najpoważniejszych pism europejskich. Powiedział tam m. in.:

„Nie zamierzam bić żadnych rekordów. Pragnę tylko poznać porty i oceany oraz życie ludzi różnych ras i pod różnymi szerokościami geograficznymi. Chcę odwiedzić jak najwięcej portów, aby polska bandera wszędzie mogła powiewać".

Teliga poczynił wszelkie kroki, aby zapewnić sobie jak najwygodniejszą podróż. Jego jacht miał w środku 3 koje, mnóstwo szaf i szafek, elektryczne oświetlenie oraz zbiornik na 200 litrów wody, tj. tyle ile potrzeba na 100 dni. Ponadto zabrał ze sobą maszynę do pisania, magnetofon, kamerę filmową, aparat fotograficzny, dużo książek, sztucer, odzież, żywność, komplet narzędzi.

Przebieg jego podróży znany jest z relacji prasowych. Przypomnę więc tylko pokrótce ważniejsze szczegóły. Teliga w drodze na Wyspy Kanaryjskie spotkał polski statek m/s „Włókniarz", któremu przekazał swą ostatnią korespondencję dla „Tygodnika Morskiego".

„Sztorm niósł mnie prosto do celu. „Opty" kołysał się nie więcej niż na pełnym wietrze. Nie musiałem myśleć o zelowaniu żagli, bo spały spokojnie zwinięte. Światła pozycyjne paliły się dobrze. Tylko ten wściekły wiatr wył nieludzko. Na różne tony, jak potępieniec, gwizdał jak wesoły żebrak, śpiewał jak obieżyświat. Nie byłoby tak źle, gdyby właśnie nie te przejmujące jęki, zawodzenia i gwizdy. A mimo to spało się doskonale".

Rejs do Wysp Kanaryjskich był sprawdzianem możliwości zarówno jachtu, jak i jego kapitana. U podróżnika odezwały się choroby tropikalne, których nabawił się, będąc na Dalekim Wschodzie różne reumatyzmy i lumbago. Przez 35 dni pobytu na Wyspach, Teliga wypoczywał i naprawiał jacht. Potem wypłynął na Atlantyk i po miesiącu uciążliwej podróży przybił do Barbados. Za ten „skok" przez Atlantyk GKKFiT przyznał mu srebrny medal. W pierwszej chwili Teliga miał zamiar zrezygnować z dalszej podróży, z powodu „nawalanki" silnika i własnych dolegliwości. Na Atlantyku Teliga obchodził swoje 50 urodziny. Miał zamiar odwiedzić jeszcze Kubę, Jamajkę i Bermudy, po czym wziąć kurs na Wyspy Brytyjskie. Ale otrzymany medal zdopingował go. Zdał sobie sprawę, że podróż dookoła świata przestała być tylko jego osobistą sprawą. Na jego wyczyn patrzał cały świat, a szczególnie rodacy, którzy byli z niego dumni i liczyli na niego. Postanowił płynąć dalej.

Po sześciu tygodniach podróży osiągnął Kanał Panamski. I oto dokonał wyczynu jeszcze bardziej heroicznego: przepłynął Ocean Spokojny dobijając do wyspy Fidżi. 30 lipca 1967 r. wypłynął, kierując się na Australię. Czekały tam na niego kamera filmowa i magnetofon tranzystorowy, przysłane z Polski. Ale władze australijskie zachowały się wobec polskiego żeglarza nieżyczliwie. Nie wpuszczono go na ląd. Popłynął więc dalej, przecinając Ocean Indyjski. Chcąc nie chcąc, musiał bić rekordy, od których tak się odżegnywał. Przeszło 160 dni bez przerwy znajdował się na pełnym morzu. Jego zapasy były na wyczerpaniu. Ale Teliga zniecierpliwił się już tak długo trwającą podróżą i postanowił jak najszybciej dotrzeć do portu, skąd 2 lata temu wypłynął: do Casablanki.

Przez dłuższy czas nie dawał znaku życia. I oto 6 stycznia 1969 r. statek polski m/s „Moniuszko" spotkał Leonida Teligę o 63 mile morskie od Dakaru. Było to wielkie przeżycie dla wszystkich marynarzy na statku. Teliga stał na pokładzie jachtu, z długą brodą i wyciągał ramiona w ich stronę. „Co za wspaniałe uczucie móc po 159 dniach żeglowania, po raz pierwszy przemówić po polsku"! — wykrzyknął. Okazało się, że m/s „Moniuszko" był pierwszym polskim statkiem, który spotkał od chwili przepłynięcia Kanału Panamskiego. Po tylu dniach żeglugi woda w zbiorniku była już niezdatna do picia. Teliga powiedział: — „Tak mi się zepsuł wzrok, że nie mogę już patrzeć na konserwy". Uzupełniwszy zapasy żywności podróżnik pożegnał marynarzy i popłynął dalej. Zdążał do Dakaru.

Casablanka przygotowuje się na przyjęcie żeglarza bardzo uroczyście. Teliga — oby mu wiatry sprzyjały — już wkrótce powinien zakotwiczyć w Casablance. Najgorsze ma już za sobą. Dokonał wielkiego wyczynu. Okrył się sławą. Ale jeszcze cenniejsze jest to, że okrył sławą polską banderę, udowadniając, że Polska jest krajem morskim.

W siedzibie gdyńskiego Yacht-Clubu znajduje się proporczyk, pod którym Teliga przepłynął Atlantyk. Wkrótce obok niego znajdzie się proporczyk, pod którym żeglarz przebył dalsze dwa oceany. Dwie pamiątki triumfu kapitana Leonida Teligi, który był również udziałem nas wszystkich.

Maraton kulturalny

Wszystkie domy akademickie biorą udział w zorganizowanym przez Zrzeszenie Studentów Polskich długofalowym konkursie pod nazwą „Maraton kulturalny domów studenckich". Zadaniem konkursu jest wykształcenie wśród mieszkańców umiejętności współżycia w internacie, ciekawe organizowanie czasu wolnego, stwarzanie warunków dla kulturalnego wypoczynku i rozrywki. Rady mieszkańców i komisje kultury w domach studenckich starają się w związku z tym jak najlepiej wykorzystywać istniejące w „akademikach" kluby, biorą udział w realizacji kulturalnych inicjatyw uczelnianych i środowiskowych, propagują wśród studentów repertuar miejscowych teatrów, filharmonii, ekspozycje w muzeach i salonach wystawowych.

Rozpoczęty w listopadzie „Maraton kulturalny" trwać będzie do maja 1969 r. Ocena domów studenckich uczestniczących w konkursie będzie przeprowadzana co miesiąc, a najlepsze zespoły nagradzane będą proporcem przechodnim. W połowie maja nastąpi ogólnopolskie podsumowanie „Maratonu". Zwycięski dom studencki otrzyma dyplom i zaszczytny tytuł „Akademika Roku 1968/69".

1969 ROK MONIUSZKOWSKI

Uroczystym przedstawieniem — 343 z kolei „Strasznego dworu" Opera Wrocławska zainaugurowała obchody przypadającej w br. 150 rocznicy urodzin wielkiego polskiego kompozytora — Stanisława Moniuszki. Większość centralnych obchodów związanych z tą rocznicą odbędzie się na Dolnym Śląsku. Podyktowane to zostało piękną tradycją i osiągnięciami wrocławskiego środowiska muzycznego w popularyzowaniu i upowszechnianiu twórczości operowej i baletowej kompozytora.

Pierwszym przedstawieniem operowym w wyzwolonym Wrocławiu była „Halka", wystawiona 8 września 1945 roku. W ciągu minionych lat wystawiono tam wszystkie opery Stanisława Moniuszki. Inscenizacja „Parii" należy do szczególnych osiągnięć Opery Wrocławskiej.

O szczególnym kultywowaniu twórczości Stanisława Moniuszki w Operze Wrocławskiej świadczy również ponad 650 przedstawień „Halki" — takiej liczby spektakli jednej sztuki nie notowano dotychczas w historii polskich scen operowych.

Z popularyzowaniem twórczości Stanisława Moniuszki we wrocławskim środowisku muzycznym łączy się także inna, dziś już mało znana historia powstania pierwszej — i jak dotąd jedynej w Polsce Ludowej — Opery Robotniczej. W roku 1947 ówczesny dyrektor Opery we Wrocławiu Stanisław Drabik — założył trupę operową składającą się wyłącznie z członków amatorskich zespołów artystycznych, w przeważającej większości robotników wrocławskich zakładów pracy. 8 grudnia 1948 roku, a więc dwadzieścia lat temu, zespół opery robotniczej wystawił na scenie Opery Wrocławskiej „Flisa" Stanisława Moniuszki. W ten sposób uczczono Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS. Operę Robotniczą przemieniono później w Zespół Pieśni i Tańca, ale jej powstanie i dość długa działalność wiąże się nierozerwalnie zarówno z twórczością Stanisława Moniuszki, jak i z Wrocławiem.

W popularyzacji twórczości Moniuszki szczególną rolę odgrywają organizowane rokrocznie w Kudowej na Dolnym Śląsku Festiwale Moniuszkowskie. Tegoroczny, ósmy Festiwal w Kudowej będzie miał szczególnie uroczystą oprawę jako jedna z centralnych ogólnopolskich imprez Roku Moniuszkowskiego. Impreza ta odbędzie się tradycyjnym już zwyczajem w lipcu. Współorganizatorem festiwalu będzie w tym roku — obok Dolnośląskiego Towarzystwa Muzycznego — Towarzystwo Muzyczne im. Stanisława Moniuszki z Warszawy, które przygotowuje m. in. ciekawą wystawę poświęconą twórcy „Halki".

Również w Kudowej odsłonięty zostanie pomnik Stanisława Moniuszki.

Vitezslav Nezval

DROGA

Choć twoja droga nie chce być tańcem wesołym
Którym zabawiali się starzy derwisze
I choć podskakiwać nie musisz z tobołem
I choć to co mówisz chce być jak najcięższe

I choć iść jak idziesz to jak zrywać jamby
Rytm tchu oto taki że dech ci zatyka
I ryjesz te słowa tak jak dytyramby
Ostrym swoim dłutem w marmurze języka

Z miłości ku tym którzy nie chcieli cię zrozumieć
Gdyś nie mówił jak mówi bard i kaznodzieja
Aleś pozwolił słowom nierytmicznie szumieć
Wewnętrznym poszumem jak szumi nocna knieja

Z miłości ku tym którzy kochają tylko definicje
które się dziedziczy z wieków poprzez wieki
By nie został twój własny język bez tradycji
Z czułości miłości troski dla człowieka

Z miłości co potrafi cenić nad egoizm
I tych małych dla których serce bym otworzył
Z miłości do wspólnego dzieciństwa historii
Z miłości do tego czegoś wciąż jeszcze nie stworzył

Przeł. Jan Bolesław Ożóg

CYKLAMEN

Rośnie w rodzinnej mojej włości
Cyklamen
Jesteśmy na tym świecie tylko jako goście
W moim dzieciństwie było błogo i najprościej
Tak chyba pachną mi kwiaty na morzu

Dziś znów widziałem jeden blady
Cyklamen
Już stokroć byłem okłamany i zwiedziony zdradą
Już stokroć mnie kąsali samym jadem
I jak mój ogień znów rozgorze?

Przeł. Jan Bolesław Ożóg

15 bm. w setną rocznicę urodzin Stanisława Wyspiańskiego, w Teatrze Narodowym w Warszawie odbył się uroczysty wieczór połączony z prezentacją skróconych wersji „Wesela" i „Wyzwolenia" — spektakli w inscenizacji i reżyserii Adama Hanuszkiewicza.

Na zdjęciu: Igor Śmiałowski (szlachcic) i Adam Hanuszkiewicz (Konrad) w jednej ze scen „Wyzwolenia".

CAF — ROSIAK

Justyna Woś

WESTERN

Jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu było tu dużo miejsca dla cowbojów. Zjeżdżali więc z całej Polski młodzi w poszukiwaniu przygody, niektórzy z myślą o dorobieniu się „kokosów" inni jeszcze z ambicjami zagospodarowania dzikiego terenu. Losy ich były różne. Ostatecznie natarczywa cywilizacja zdruzgotała legendy o bieszczadzkim Texasie, opracowane zostały plany, wkroczyły inwestycje. Tak też i w Brzegach Górnych u stóp Połoniny Wetlińskiej ma stanąć kombinat turystyczny z motelem, hotelem, restauracją i wszelkimi luksusami. Zanim plany te przeobrażą się w odpowiednią formę i kształt fundamentów budowli, czterech ludzi pracujących przy wiertniczym szybie musi dostać się po 50 metrach głębokości do wody. Pracują więc wytrwale i nie mają czasu na zachwyty dla otaczających ich uroków natury.

— Nie jest nam lekko. Kto to zrozumie? Na pewno nie ci, co za biurkami wygrzewają krzesła — mówi robotnik o ciętym języku. Ten wybuch zaraz usprawiedliwia:

— Człowiek jest zahartowany, jak praca, to praca! A za nią się coś należy — idzie o tzw. dodatek bieszczadzki. Zaczęliśmy pracować, powiedziano nam, że dodatku nie ma... i nie dali.

Karol Wojdyło z „wiatrakami nie walczy", ale nie rezygnuje łatwo ze starań, jeżeli czuje swoją rację. Zorientował się, że przysługująca jemu i jego pomocnikom należność rozbiła się o biurokrację. Napisał więc do „Przyjaciółki", potem do „Fali 56", Polskiego Radia. Odpowiedź przyszła błyskawicznie: „dodatek może być przyznany w przedsiębiorstwach geologicznych zatrudnionych przy realizacji inwestycji na terenie Bieszczadów, tj. pow. sanockiego, leskiego, ustrzyckiego z wyłączeniem miast. Dodatek wynosi 20 proc. gotówki zarobku brutto".

Z tymi argumentami zwrócili się znowu do swojego przedsiębiorstwa. Nie opierano się wobec dobrze znanej, ale powtórzonej przez autorytatywne instytucje ustawy.

— Nie powiem, wypłacono bez kłopotów i grzecznie zaległości, ale musiałem na to stracić czas, jeździć, pisać — a nam zależy na tym, aby szanować każdą chwilę.

I opowiadają jak to jest. Po żywność do Wetliny 10 km w jedną stronę, oczywiście piechotą. Wodę dowozi wynajęta furmanka, ale zdarzy się, iż wyczerpie się zapas, wtedy z odległego źródełka trzeba nosić wiadra — jak mówią — na kiju. Odcięci od świata. Do rodzin daleko, odwiedziny przez to możliwe raz w miesiącu. Tu mieszkają w baraku na kołach. Przed mrozem zabezpiecza żelazny piecyk, z tym, że ogień musi królować w nim okrągły dzień i okrągłą noc.

Pierwszy raz zastukałam do nich w przeddzień Sylwestra; owiało mnie gorące powietrze, oślepiło światło z akumulatora. Mężczyźni z uwagą słuchali kolegę czytającego „Winnetou" K. Maya. Wejście nieoczekiwanego gościa przerwało lekturę. Przypadkowe nieplanowane spotkanie dało upust obustronnym dywagacjom. Ich dnie powszednie i święta, wszystkie bliźniaczo podobne do siebie, wieczory — to spotkania z książką: przeczytali już „Pana Wołodyjowskiego", a w zapasie leży jeszcze „Ostatni Mohikanin" i „Pogromca zwierząt". Gdy się uśmiecham, dorośli, twardzi ludzie czują się zażenowani swoją ucieczką w fikcyjny pełen przygód świat. Dla nich sam pobyt w Bieszczadach nie jest przygodą, muszą się więc „ratować" powieścią; żyją bez gazety, radia, a wokół pustkowie. Chatkę na szczycie u podnóża, którego codziennie pracują, dostrzegli zaraz w mroźny poranek, pierwszego dnia pobytu. Nie łudzili się jednak tą nikłą oznaką ludzkiego życia. Opowiadam więc o tym, co już wiem.

Zadziwili się, bo odczuli na własnej skórze jak ciężko jest tu zimą, ale oni są tu tymczasowo dwa, trzy miesiące — zrobią co do nich należy i wyjadą. Ale tam na górze, kto miał odwagę zamieszkać? Historia wyraźnie zaintrygowała ludzi z „wozu Drzymały".

SŁAWA PUSTELNIKA

Przez kilka lat chatka na szczycie Połoniny Wetlińskiej była własnością WOP-u. Opuszczoną przeznaczono na cele turystyczne. Był czas, że obozowali tam harcerze, utworzyli nawet coś w formie ustroju i nazywało się to całkiem ładnie: „Harcerska Republika Wetlińska". Rządy były widać niechlubne, skoro Krakowska Chorągiew, odżegnała się od harcerskich cowboyów i chatka przeszła pod bezpośredni patronat PTTK. Lata były ciężkie, o stałego dozorcę nie było łatwo, a przygodni turyści niszczyli upadający schron. I wreszcie znalazł się człowiek mocno wrażliwy na dzieła natury bieszczadzkiej, ale równie odporny na jej surowe i okrutne warunki. W góry przybył podobno w 1960 roku, latem śpieszył się przy zbieraniu jagód, pracował w lesie, aby za zarobione pieniądze przygotować żywnościowe zapasy na zimę. „Hotelował" najczęściej w ruinach piwnic w Berehach Górnych. W 1964 roku porozumiał się z ludźmi zainteresowanymi losami zrujnowanego schronu na szczycie Połoniny i tam z małym dobytkiem i żywym inwentarzem wkrótce się ulokował. Następny rok to — umowa z PTTK, na podstawie której samotnik miał się stać wykonawcą remontu „Chatki Puchatka".

Przypadkowi obserwatorzy z zewnątrz nie wnikając w szczegóły podziwiali człowieka z oddaniem pracującego przy schronisku, przyjmującego turystów latem, i radzącego sobie z samotnością w ciężką zimę, kiedy wytrwałość brała górę nad zwątpieniem w sens egzystowania wysoko i z dala od ludzi. Tymczasem fama rozniosła po całym kraju, iż w dzikich Bieszczadach żyje dziwny pustelnik. Zjawisko nader osobliwe i niepowtarzalne. Przejeżdżające pętlą autokary, samochody osobowe w jednym ze swoich programowych punktów wycieczki odnotowany miały przystanek w Berehach. Stąd najbliżej na Połoninę, dla odbycia „pielgrzymki". Rozczarowania były miłe. Dwudziestokilkuletni chłopak budził sympatię turystów, narastały wokół niego emocje i rozpowszechniały się głosy uznania i zachwytu, chociaż tu i ówdzie słyszało się zdania o zajeździe wetlińskim, gdzie można było uzyskać atrakcyjny nocleg jak w betlejemskiej stajence, wśród poczciwych zwierzątek. Na zewnątrz młody Pustelnik pokazywał się z kowbojskim wdziękiem na koniu. Przystojny, któregoś lata oczarował turystkę — licealistkę ze Śląska Cieszyńskiego, dziewczynę o podobnej chyba naturze; impulsywnej i odważnej. Zdała egzamin dojrzałości w szkole i wróciła w Bieszczady. Na wiosnę tego roku usankcjonowali swoją miłość ślubnymi obrączkami.

Pustelnik przestał być pustelnikiem.

EPILOG

Prawda nie jest już tak romantyczna, jest nawet okrutna — pomyślałam po przeczytaniu artykułu o naszym bohaterze („Głos Pracy" 20 XI 1968 art. „Kowboj po polsku").

„16 sierpnia br. na szczycie Połoniny Wetlińskiej zjawiło się kilku mężczyzn. Jeden był z walizkami. — To jest wasz następca, nowy dzierżawca schroniska, powiedzieli goście bez walizek, przedstawiciele PTTK w Rzeszowie".

Pojechałam w Bieszczady. Eks-Pustelnika odnalazłam na „dole" u przyjaciół i tam zrelacjonował swoje czteroletnie dzieje z „Chatki Puchatka". Początek się zgadzał. PTTK zawarło w 1965 r. z Lutkiem (tak popularnie mówi się o nim w Bieszczadach) umowę remontową, którą zresztą wkrótce rozwiąza-

Historia literatury po raz pierwszy inaczej

Istnieje wiele podręczników, książek dla specjalistów i prac naukowych, ale wyraźnie brakowało zwyczajnej książki, w której byłyby omówione dzieje naszej literatury. Dlatego też „dzieje literatury polskiej od początków do czasów współczesnych" opracowane przez wybitnego historyka naszej literatury, wielkiego miłośnika staropolszczyzny —prof. Juliana Krzyżanowskiego stanowią swego rodzaju przełom w polskim piśmiennictwie z tego zakresu. Praca ta ukaże się dopiero na początku lutego br., ale już otrzymała ona miano „zwyczajnej książki dla zwyczajnych ludzi".

Prof. Julian Krzyżanowski nie zamierzał pisać ścisłej „historii literatury", dlatego też jego praca jest jakimś indywidualnym spojrzeniem na dorobek naszej literatury. Indywidualnie też autor ocenia poszczególnych pisarzy i poetów. Książka ta więc może budzić wiele kontrowersji, ale dzięki takiemu ujęciu jest ona ciekawa i zupełnie inna od dotychczasowego piśmiennictwa z tej dziedziny.

Praca prof. J. Krzyżanowskiego obejmuje w zasadzie okres tylko do 1939 r., ale profesor omawiając sylwetki znanych już wówczas pisarzy czy poetów np. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Władysława Broniewskiego, Leona Kruczkowskiego i innych, którzy nadal tworzyli po wojnie, nie kończył prezentacji ich dorobku na roku 1939, lecz doprowadził ją do ostatnich lat.

Atrakcyjność tej książki jest podkreślona 64 całostronicowymi ilustracjami.

Książka będzie wydana nakładem PWN w ilości 60 tys. egzemplarzy. Być może za dwa lata opublikowana będzie druga tego typu praca poświęcona już wyłącznie literaturze powojennej.

Z ŻYCIA

no i przekazano wykonawstwo Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu „Bieszczady" w Sanoku. Tymczasem Lutek tam mieszkał pełniąc jednocześnie dyżury w GOPR (kandydował na ratownika) i sprawował pieczę nad schronem. Sprawdzonemu w górskich trudach samotnikowi, PTTK zaproponowało umowę dzierżawną — ale jej warunki nie odpowiadały zainteresowanemu. „Głos Pracy" podaje, że przez dwie ostatnie zimy Lutek mieszkał na Połoninie Wetlińskiej w bardzo trudnych warunkach, dozorując obiektu i zgromadzonych materiałów, za co nie otrzymał od Zarządu Okręgu PTTK żadnego wynagrodzenia. I dalej: „...nie otrzymał formalnego wypowiedzenia umowy dzierżawnej, ale za to otrzymał pismo, aby w dwutygodniowym terminie opuścił schronisko. O przetargu jaki ogłoszono w prasie na dzierżawę schroniska, które on dotychczas prowadził i które wybudował własnymi rękami, w ogóle go nie zawiadomiono. Za to przywieziono mu na miejsce nowego dzierżawcę".

Zaczęłam już podejrzewać przedstawicieli PTTK z Rzeszowa o brak wszelkich zasad humanitarnych, dopóki pierwsza penetracja nie wykazała pewnych nieścisłości w ustawianiu faktów, o których tak przekonywująco pisał autor z „Głosu Pracy". Po pierwsze za dyżury w Stacji GOPR, otrzymywał Lutek diety, po drugie za dozór PTTK płaciło mu 1 200 złotych miesięcznie — stawka wprawdzie groszowa jak na bieszczadzkie warunki, ale rzeczywista, po trzecie, Zarząd Okręgu nie rozwiązał umowy dzierżawnej, bo w ogóle nie weszła ona w życie, ze względu na to, iż dzierżawca nie przyjął proponowanych warunków. Nowej umowy nie spisano i na tej podstawie ogłoszono przetarg, informując o nim dotychczasowego gospodarza nawet prywatnie. Na to przyszła epistoła z Połoniny: „w związku z ogłoszonym przetargiem w „Nowinach Rzeszowskich" na dzierżawę schronu informuję Zarząd Okręgu, że nie mogę brać udziału w przetargu"...

A przetarg się odbył. W wyremontowanym, małym ale bajecznym schronisku na wysokości 1 227 m z powodzeniem zdobywa teraz ostrogi gospodarza chłopak także młody, zaprawiony zresztą niełatwym stażem w Górskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym.

* * *

Kilka dni temu rozmawiałam z panem Lutkiem w Rzeszowie. Powiedział, że gdyby chodziło o pieniądze, dawno przebolałby Połoninę. Zresztą to oczywiste; ktoś inny na jego miejscu w tym czasie nie siedziałby tam nawet za 3 tys. złotych miesięcznie. To coś innego. On zostawił za sobą najtrudniejsze lata, włożył dużo serca i sił. To prawda. Dlaczego więc dopuścił sam, aby historia nabrała oznak robinsonady z żałosnym końcem, lekceważąc w finale podstawowe przepisy?

Sprawa Pustelnika powędrowała do sądu. Teraz tylko wyrok może stanowić prawną podstawę do eksmisji słynnego cowboy'a z Chatki Puchatka...

Rozmowy „Widnokręgu"

Dni Filmu Polskiego

Prezentacja dorobku kinematografii polskiej w 25-leciu PRL

(Wywiad z przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Filmowego imprezy pt. „Kinematografia polska w 25-leciu PRL — Dni Filmu Polskiego 69" — zastępcą przewodniczącego Prezydium WRN tow. MIECZYSŁAWEM KACZOREM).

Widnokrąg: W związku z obchodami jubileuszu — 25-lecia PRL — kinematografia polska organizuje długofalową imprezę — Dni Filmu Polskiego 1969. Poinformowaliśmy naszych czytelników o powołaniu komitetu organizacyjnego, któremu przewodniczycie. Prosimy o garść informacji o głównych założeniach tej imprezy.

MK: *Wraz ze zbliżającym się dwudziestopięcioleciem istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, cały kraj podejmuje przygotowania do uroczystości związanych z rocznicą o tak doniosłym znaczeniu dla narodu polskiego.*

Kinematografia pragnie włączyć się do ogólnokrajowych uroczystości, poprzez organizację imprezy pod nazwą: „KINEMATOGRAFIA POLSKA W XXV-LECIE PRL — DNI FILMU POLSKIEGO 1969".

Nasze województwo, którego powstanie łączy się ściśle z datą powstania Polski Ludowej, przygotowuje się szczególnie uroczyście do obchodów 25-lecia PRL i z dużą aprobatą wita każdą inicjatywę, która może przyczynić się do uświetnienia tych uroczystości.

Istniejąca aktualnie sieć kin stałych w liczbie ponad 220, w tym 80 panoramicznych oraz 440 miejscowości obsługiwanych przez kina ruchome — odwiedza rokrocznie około 8 milionów mieszkańców województwa. Nie jest to liczba bagatelna i dlatego doceniając dalszy rozwój tych placówek kultury, pragniemy nadać imprezie — Dni Filmu Polskiego 1969 — wyjątkową rangę w naszym województwie.

Widnokrąg: Czym charakteryzować się będą tegoroczne Dni Filmu Polskiego?

MK: *Celem imprezy jest popularyzacja powojennego dorobku kinematografii — popularyzacja dorobku polskich realizatorów filmowych.*

Poprzez szeroką prezentację społeczeństwu, a zwłaszcza młodzieży, poszczególnych tytułów filmowych, pragniemy wskazać na znaczenie filmu, najpopularniejszej ze sztuk, na jego związek z literaturą, teatrem, muzyką, z ogólnonarodową kultura, a przede wszystkim na rolę fi... w życiu społecznym i politycznym kraju.

Pragniemy, aby założenia programowe, zasięg, oprawa propagandowa i akcje towarzyszące DFP, nadały wysoką rangę społeczno-polityczną i artystyczną tej imprezie.

Kinematografia Polski Ludowej wyprodukowała dotychczas ponad 280 filmów fabularnych. Wiele z nich uzyskało światowy rozgłos i zdobyło szereg mię...zynarodowych i krajowych nagród. Tematycznie filmy polskie utrwaliły wiele historycznych faktów, wiekopomnych wydarzeń. Adaptowano dziesiątki dzieł literatury polskiej. Ukazano dość szeroko bohaterskie zmagania narodu polskiego z hitlerowskim najeźdźcą w okresie II wojny światowej oraz sięgano do aktualnej tematyki życia naszego społeczeństwa. W dziesiątkach filmów ukazano w sumie bogaty wachlarz naszego dorobku kulturalnego, społecznego, obyczajowego.

(Ciąg dalszy na str. 6)

„DZIECI KWIATY" (Maria Sitek) Fot. M. KOPEC

Pisarze przed swoim zjazdem

4 tys. tytułów polskich książek na świecie

MÓWI MICHAŁ RUSINEK:

Będzie to wyjątkowy zjazd debatujący na styku dwóch wielkich rocznic narodowych: 50-lecia odzyskanej niepodległości i 25-lecia Państwa Ludowego.

Pozycja pisarza nie tylko się umocniła w Polsce Ludowej, ale stała się powszechnie uznana przez społeczeństwo, dzięki upowszechnieniu czytelnictwa i łatwemu kontaktowi autorów z odbiorcami ich dzieła.

Pewne zachwianie szacunku do literatów, jakie zanotowano w początkach nieszczęsnego roku 1968, miało chwilowy, acz bolesny charakter i jako niefortunne dzieło grupy, należy do niepowtarzalnej przeszłości. Środowisko pisarskie znajduje się obecnie na prostej drodze do odzyskania autorytetu i roli, jaką miało i mieć nadal powinno w społeczeństwie państwa ludowego.

Myślę, że wypowiedzi nasze na zjeździe powinny dać obraz naszych zmagań twórczych i bezspornych osiągnięć, jakie pisarze polscy na przestrzeni 25-lecia wnieśli w dorobek narodu. Myślę, że powinniśmy szczególnie wziąć pod uwagę okres ostatnich kilkunastu lat liczonych od października 1956 roku, który zasadniczo wpłynął na kształt naszej literatury.

Chciałbym zwrócić uwagę na jedno z ważnych osiągnięć polskich pisarzy współczesnych, to jest na zasięg naszej literatury poza granicami kraju.

Liczba książek polskich autorów, przetłumaczonych w ciągu 25-lecia na języki świata, wyraża się imponującą liczbą około 4 000 dzieł. Z tą ilością tłumaczonych dzieł nie wytrzymuje żadnego porównania liczba przekładów naszej literatury w okresie przedwojennym, kiedy to — jeśli chodzi o autorów współczesnych — notowano rocznie zaledwie kilkanaście przełożonych pozycji.

W ostatnim dwudziestopięcioleciu tłumaczono nas na 70 języków w 64 krajach zarówno socjalistycznych, jak i kapitalistycznych. Mamy około 150 autorów współczesnych tłumaczonych na języki obce, a wśród nich liczną grupę piór szczycących się posiadaniem po kilkadziesiąt przekładów swoich książek czy sztuk teatralnych.

Poeci nasi, cieszący się dużym wzięciem za granicą, mają całe wybory swoich utworów rozmieszczone w kilkuset zagranicznych antologiach, wydanych i rozsianych po całym świecie.

Potrąciłem fragmentarycznie o ten zasięg zagraniczny naszych piór współczesnych, by z okazji zjazdu podkreślić wkład polskich pisarzy w twórczy dorobek narodu polskiego w okresie powojennym, a tym samym w umacnianie dobrego imienia Polski Ludowej w świecie.

JAN ADAMSKI

KOLA PRACHORENKO

Podolski sierpień 1943 roku. Pożniwny, bujny i bogaty wrzesień 1943 r. Spuścili nosy w dół Niemcy. Przez Żnibrody wioskę naszą przechodzą kołpakowscy partyzanci. Tylko, tylko nocka zapadnie stuk puk w okno. „Atkroj małodoj chaziain. Nie bojsia. My sowietskije partizany". Zuchwały uśmiech na pyzatej twarzy majora Antikowa. Senne i marzące oczy Grigorija Usiewnowaczeńki. Jasnowłosy jak z Rublowa Michaił Fomin. Skuty powagą i skupieniem. Drobny i łagodny Leonid Itkin. Wy, białe z wojennego trudu twarze młodych dziewcząt — radiotelegrafistek. Wy zarośnięci i zmorzeni ponad wszelką człowieczą miarę, ludzie znad Smotrycza, Bohu, Jaiku i Amuru, chlipiący pośpiesznie z odbezpieczonymi automatami na kolanach podolską mamałygę z mlekiem. Partyzanci legendarnego Kołpaka, coście nadeszli od pińskich błot, poprzez buraczano-pszenne pola wołyńskie. Coście dotarli do podkarpackich wzgórz i wysadzili w powietrze szyby naftowe w Bitkowie pod Nadwórną. Coście rozbili sprowadzoną przeciw wam, aż z Grecji hitlerowską dywizję strzelców górskich. Co wracacie teraz na wielką partyzancką ziemię na Zbrucz, w aureoli sławy walecznych i groźnym blasku czarno czerwonych łun, płonących na horyzoncie niemieckich liegenschaftów. Wy, co położyliście szary kolor przerażenia na tłuste pyski berlińskich ekskanalarzy zadekowanych na tyłach feldfebli żandarmerii. Wy, przed którymi drży wszystko co niemieckie. Wy, z którymi jemy teraz pospołu przed pożegnaniem na dalekę, trudną drogę chłopski czarny chleb. To o was te słowa i o waszych najmłodszych. Dwóch ich widziałem. Nie zdążyłem się zapytać o twe nazwisko zmizerowany pochodem, przedwcześnie poważny chłopcze, któryś nie miał jeszcze lat szesnastu. Pożywaliśmy z tobą po gospodarsku z jednej miski ciepłą strawę, którą nam podała moja matka. Nie wiedziałem, że jesteś tak znaczny bojowym doświadczeniem. Twoi starsi wiekiem wojenni towarzysze otaczali cię szacunkiem, mimo twych bardzo młodych lat. Traktowali cię, jak równego sobie wiekiem i stopniem żołnierskiego rzemiosła. Miałeś na sobie bluzę żandarma niemieckiego. Tęgie musiało być szwabisko bo musiałeś zakasać rękawy bluzy koloru feldgrau. Zapytałem cię skąd masz tę bluzę? Wstałeś nagle i wtedy zobaczyłem jaki szczupły, ba, chuderlawy jesteś. „Widzisz brat" powiedziałeś do mnie spokojnym głosem, jakim bardziej rozgarnięty uczeń, wyjaśnia mniej pojętnemu koledze zawiłości równań i pierwiastków: „Rozumiesz, on dostał ode mnie serię w pasz. Od tyłu dostał". I odwróciłeś się nagle. Zobaczyłem wtedy na plecach żandarmskiej bluzy małe, jakby wypalone papierosem dziurki. I zobaczyłem krew. Niemiecką krew. „Ciepło mi jest w niej" — powiedziałeś tu już jesień blisko i chłodno wieczorami, a ty", „popatrzyłeś na mnie uważnie oczyma pół dziecka, pół mężczyzny, jak możesz to daj mi na drogę chleb i książkę". I nagle zjawił się w izbie dowódca. „Rebiata w pachod" — krzyknął od progu. Któryś z waszych powiedział: „Jesteśmy zmęczeni". „Pod polną miedzą, w dzień się wyśpimy". Chrzęst automatów. Poderwaliście się. Zakryła was noc. Nie było czasu dać ci chleba, książek i zapytać o twoje nazwisko. A ty mój przyjacielu nazywałeś się Kola. Leżałeś na wznak, na trawie naszego podwórka, bez czapki, w okręconych drutem łapciach z opon samochodowych, w zgniłozielonym, ceratowym płaszczu niemieckiego motocyklisty. Ciepłe sierpniowe słońce pełzało zwolna po twej młodocianej szczupłej twarzy, płowych włosach i rozrzuconych dziecinnie przez sen rękach, z których lewa zaciskała się kurczowo na karabinie o długim, wąskim bagnecie. Pochylony przyglądałem się tobie dłuższą chwilę. Obudziłeś się. Patrzyłeś na mnie z zaciekawieniem, odgarniając pięścią resztki snu, uśmiechnąłeś się przyjaźnie i z trudem wielkim prostując obolałe od forsownego marszu nogi, powstałeś. „Nazywam się Kola" rzekłeś podając mi otwartą dłoń. „Dasz pakuszat, brat"? „Dam, chodź". Przerzuciłeś szybko karabin do prawej ręki, lewą oparłszy się na moim ramieniu. Szedłeś z trudem ku bielejącemu w sadzie domostwu, rozstawiając szeroko nogi, jak oracz, który po dniu pracy w polu powoli idzie na spoczynek. Zasiedliśmy do stołu. Jadłeś z namaszczeniem, nie śpiesząc się. Gdy łyżka zastukała o dno miski — zapytałeś: „Dasz zapalić?". Przyniosłem ci samosiejki, nie skręciłeś jednak papierosa, a zwinięty ciasno kłąb tytoniu schowałeś do kieszeni. „Ja nie palę, widzisz, ale tytoń żołnierzowi zawsze się przyda w wojenny czas. A to dasz starszemu żołnierzowi — druhu, a to gospodarza poczęstujesz na kwaterze, to on wtedy nie pożałuje jadła i ostatkiem chleba się podzieli. Ty tu na gospodarstwie siedzisz. Ojcu i matce w obrządku żniwnym pomagasz, a mnie widzisz, ziemlak, surowiej i inaczej w życiu przypadło. Ale nic. Przejdziemy. Dożyjemy". Zacząłeś starannie czyścić karabin. Pomyślałem wtedy, że trzeba cię poprosić o pamiątkę. Wpisałeś mi się do mego sztubackiego pamiętnika, jaki dała mi przed wojną, na dzień imienin moja matka. Podumałeś chwilę i wziąwszy pióro do ręki powoli i nieporadnie zacząłeś stawiać cyrylicą wysokie, koślawe litery. "Na dobruju pamiat Janu Stanisławowiczu A. Błagodarnost. Nachodiłsja w gostiach u Jana pri wozwraszczenie iz Karpat, posle wypałnienia e S. Zadanai. Kola Prachorenko Sawietskij partizan. Dierewnia Dowlad. Spaliśmy tej nocy razem z Tobą i twymi wojennymi towarzyszami w stodole na sianie. Położyłeś na werecie pas z nabojami i karabin, po czym ułożyłeś się sam, zasypiając natychmiast twardym snem. Rankiem obudziła nas matka. „Wstawajcie" — mówiła. Po chatach chodzą już wasi starsi. Zaraz będziecie odjeżdżać. Zerwałeś się Kola na nogi. Moja matka z lekka dotknęła twojej ręki. Tu masz na drogę synu chleb i słoninę, żebyś głodny nie był. Wracaj cały i zdrowy do swojej rodziny, w Dowladach. Ja będę modlić się o to. „Spasibo Pania!" — powiedziałeś cicho i potrząsnąłeś mocno ręką mojej matki. Pobiegłem zaprzęgać konia. Na plac przed szkołą zajeżdżały cicho wymoszczone słomą drabiniaste wozy. Przy parkanie szkolnym stał z odkrytą głową jeden z dowódców. „Paskarjeje rebiata" przynaglał. Na trzech koniach przyjechali zwiadowcy. „Razwiedka wpierod" krzyknął dowódca. Jeźdźcy wysforowali się na czoło pochodu. Partyzanci przydeptywali papierosy, podjechały taczanki. W tym momencie ktoś mnie mocno chwycił za rękę. „Złaź mi tu zaraz. Nie pojedziesz". Był to mój jednoręki ojciec. „Pojadę tatusiu". „Złaź mi w tej chwili — smarkaczu". Po czym chwyciwszy mnie za koszulę, przemocą ściągnął z wozu.

„W Burakówce i Bazarze banderowcy i Niemcy przecież. Nie puszczę cię". Ojciec zwinnie, mimo swego kalectwa, skoczył na siedzenie. „Siadaj koło mnie" — krzyknął do Koli. Prachorenko poprawił pas z nabojami i przerzuciwszy karabin do lewej ręki, prawą wyciągnął do mnie. „Szczastliwa" powiedział. Uścisnęliśmy się. „Wajna dałżna wże skoro akonczytsła. Jak przeżyjemy będziemy pisać do siebie". Wieczór już zapadł. W mroku zarżały konie zwiadowców. Cekaemiści na taczankach ściągnęli pasy. Radiotelegrafistki podjęły cicho jedną z tych rozlewnych, przesmutnych pieśni rosyjskich. Mój ojciec sprawnie ściągnął lejcami konie. Odwrócił ku mnie swą zatroskaną twarz i uśmiechnął się. A ty Kola krzyknąłeś jeszcze pożegnalne „But zdarow Janek. Praszczaj. Piszi". Stałeś na tym chłopskim drabiniastym wozie wsparty o rosyjski karabin z długim, wąskim sztykiem. Tren ruszył.

Ruszyła kawalkada chłopskich wozów ku polnej drodze, aby dotrzeć do jagielnickich lasów, które ciągnęły się hen, daleko, aż ku Zbruczowi, za którym leży Kamieniec Podolski i wielka partyzancka ziemia. Mój rówieśniku, młody chłopcze z białoruskiej wioski, rzucony srogim zrządzeniem losu na głębokie tyły wroga w podolskie jary. Jakie szlaki bitewne przemierzały twe nogi w łapciach z opon samochodowych okręconych drutem? Jakie tropy? Jaki wróg padł z twej ręki? Jaka dziewczyna tęskniła za tobą? I jak witała cię twoja białoruska matka, gdyś wrócił z wojny wielce utrudzony żołnierskim znojem, pod niski dach swojej chaty?

Rys. J. SIENKIEWICZ

DYSKUSJE

„Opisanie Sieniawy"

Inż. Mieczysław Sokulski z Przemyśla, nawiązując do zamieszczonego na naszych łamach reportażu pt. „Opisanie Sieniawy", nadesłał obszerny artykuł o roślinności Sieniawy. Ze względu na brak miejsca, zamieszczamy jedynie drobny fragment z listu inż. Sokulskiego: „Park sieniawski jest pomnikiem przyrody i winien być troskliwie chroniony. Rosną tu kilkusetletnie dęby, topole, lipy i inne gatunki krajowe, które przed 1939 r. były troskliwie konserwowane. Z obcych gatunków należy wymienić sosnę Weymutha, niestety, już usychającą, miłorzęby, drzewa rosnące w Chinach wokół świątyń, o liściach oryginalnych, „nieunerwionych". Rósł tu również cis drzewiasty w wieku 200 lat (policzyłem słoje), niestety, w r. 1945 został ścięty siekierą przez nieznanego — i zapewne nie zdającego sobie sprawy z dokonanej szkody sprawcy. Była i limba w wieku i wymiarach podobna do limby, rosnącej koło apteki — niestety, uschła.

Najciekawszym może drzewem na terenie parku w Sieniawie jest lipa, chyba jedyny egzemplarz w Polsce, o nasionach płonych. Liście tej lipy nie są zupełnie podobne do znanych ogólnie liści lipowych — przypominają one raczej liście pokrzywy, postrzępione i fantazyjnie powycinane. Dość trudno znaleźć dwa liście o identycznym kształcie. Jak wspomniałem, park sieniawski jest objęty ochroną i winien być odpowiednio chroniony i zabezpieczony przed szkodami — pisze inżynier leśnik Sokulski. Tę przestrogę doskonale znającego i kochającego przyrodę leśnika z Przemyśla dedykujemy Miejskiej Radzie Narodowej i wszystkim mieszkańcom Sieniawy. Szanujcie i chrońcie swój piękny park!

Dni Filmu Polskiego

(Ciąg dalszy ze str. 5)

Tak więc Dni Filmu Polskiego w jubileuszowym roku PRL będą nie tylko okazją do podsumowania dorobku naszej kinematografii, ale również przy pomocy filmu upowszechnione zostaną i spopularyzowane wielkie wydarzenia historyczne i przemiany zachodzące w Polsce Ludowej.

Widnokrąg: Jak będzie przedstawiał się program DFP?

MK: *Dni Filmu Polskiego 1969 rozpoczyna głośny już film „Kierunek Berlin", który otrzymał nagrodę Ministra Obrony Narodowej. Premiera filmu odbyla się w całej Polsce w dniu 17 stycznia, tj. w pamiętną rocznicę wyzwolenia Warszawy. Równocześnie szereg kin wznowi najwybitniejsze filmy o Warszawie. W jubileuszowym roku wejdzie na ekrany naszych kin 20 nowych filmów produkcji rodzimej, w tym takie filmy wiodące, jak wspomniany już „Kierunek Berlin", „Ostatnie dni", „Sąsiedzi" i „Pan Wołodyjowski".*

Ponadto na ekranach kin ujrzymy najciekawsze pozycje spośród ponad 270 filmów polskich wyprodukowanych w Polsce Ludowej. Są to m. in. „Zakazane piosenki", „Zamach", „Kanał", „Popiół i diament", „Krzyżacy", „Ogniomistrz Kaleń", „Barwy walki", „Człowiek na torze", „Faraon", „Matka Joanna od Aniołów", „Orzeł", „Żywot Mateusza", „Żona dla Australijczyka" i dziesiątki innych.

Projekcjom filmowym towarzyszyć będzie szereg imprez, jak konkursy, zgaduj-zgadule, plebiscyty filmowe, spotkania z aktorami i reżyserami, seminaria, no i miejmy nadzieję, przychylna atmosfera milionów widzów odwiedzających sale kinowe naszego województwa.

● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ●

Barbara Palczak

Wokół noworocznej kolumny KKMP

Artykuł Tadeusza Piekło, zamieszczony w ostatnim numerze „Widnokręgu" traktuję nie tylko jako bodziec do udziału w rozmowie o wierszach, ale także jako pretekst do wypowiedzenia kilku (mniej lub bardziej polemicznych) uwag dotyczących twórczości w ogóle, jej uwarunkowań społecznych oraz relacji: twórca—odbiorca.

Nie podejmuję się oceny wierszy, którym poświęcono sporo miejsca w noworocznym numerze niniejszego pisma, ponieważ wydaje mi się, że powinna ona poprzedzać samą ich publikację. Poza tym — fakt przynależności autorów do KKMP, który przyjmuje w swoje szeregi nowych członków, na pewno kieruje się pewnymi rygorami i wymogami — jest dostatecznym usprawiedliwieniem obecności ich prac na łamach „Widnokręgu".

Listy nadesłane do redakcji, wyrażające oburzenie, zdziwienie czy protest, są cennym materiałem socjologicznym, odzwierciedlającym gusty czytelnicze i mogą, a nawet powinny stać się podstawą odrębnej analizy, uwzględniającej wiek, płeć, wykształcenie, środowisko społeczne, zawód i szereg innych cech, charakteryzujących czytelnika. Na pewno są one wyrazem dwu powszechnie występujących i podkreślanych już w artykule Tadeusza Piekło tendencji, które podsycając się wzajemnie — zagrażają współdziałaniu twórcy z odbiorcą. Myślę z jednej strony — o nieprzygotowaniu czytelnika do właściwego odbioru treści ujętych w formy nowe, awangardowe i sprzeczne z dotychczasowymi, tradycyjnymi wyobrażeniami, jakie ukształtowały się i zakorzeniły przede wszystkim w kręgu odbiorców starszego pokolenia. Z drugiej strony — nie można pominąć i tak już nieco poskromionych w poezji ciągotek do udziwniania, do przekazywania pseudopoetyckiej wizji świata za pomocą czystego werbalizmu, obliczonego na efekt i niezrozumienie. Konsekwencją współwystępowania obu wspomnianych tendencji jest sytuacja, w której czytelnik albo w ogóle nie sięga po poezję współczesną, albo odwraca się od niej z wyrazami ubolewania, skierowanymi do autorów, tworzących w jego pojęciu „sobie a muzom".

Doszliśmy w dotychczasowych rozważaniach do punktu, w którym pora na omówienie aktu twórczego i rządzących nim praw. Każdy twórca ma prawo do przekazania swojej własnej wizji świata, wypracowanej na bazie dotychczasowych doświadczeń i przeżyć. Jest to wewnętrzny, subiektywny aspekt twórczości, który może utrudniać kontakt z odbiorcą, jeżeli nie dorasta on lub przewyższa doświadczeniem życiowym poziom reprezentowany przez autora. Zewnętrznym, obiektywnym aspektem twórczości jest stopień osiągnięć cywilizacyjnych, a co za tym idzie — stopień osiągnięć kulturowych, który powinien być czynnikiem zbliżającym i ułatwiającym dialog pomiędzy twórcą a odbiorcą. Każdy akt twórczy bowiem uwarunkowany jest nie tylko osobowością tego, kto tworzy, ale także całym szeregiem czynników składających się na pojęcie kontekstu społeczno-kulturowego. Wpływ osiągnięć cywilizacyjnych, a przede wszystkim osiągnięć technicznych, jest szczególnie widoczny w takich dziedzinach sztuki, jak rzeźba, malarstwo czy nawet muzyka, gdzie wykorzystuje się najnowocześniejsze środki, mające służyć możliwie pełnej ekspresji w przekazywaniu myśli.

Poezja jednak wydaje się rządzić innymi prawami. Decydującą rolę odgrywa w niej słowo, oddające myśl poety i jego uwrażliwiony sposób widzenia świata. Nie chodzi tu przy tym o uprawianie wielomówstwa, ani o nagromadzenie wyrazów niezrozumiałych, choć efektownych. Istotą wiersza jest skrót poetycki, wyrażający ideę przewodnią i konstruktywną, a jednocześnie świeżą i niebanalną. W tym punkcie zgadzam się z Tadeuszem Piekło, przytaczającym ostateczny sens wypowiedzi Juliana Przybosia. Chciałabym dotknąć jeszcze spraw związanych z konstrukcją utworu poetyckiego oraz spontanicznością, która towarzysząc aktom twórczym, mieści w sobie coś z „natchnienia" — owego pojęcia może już nieco przestarzałego, któremu Jan Parandowski poświęcił swoją wspaniałą książkę „Alchemia słowa". Te dwa terminy: „konstrukcja" i „spontaniczność" wydają mi się sprzeczne z sobą i wykluczające się nawzajem, może dlatego, że sztuką pisania nie zajmuję się zawodowo. Przez konstrukcję rozumiem coś ustalonego i przemyślanego, coś co musi odpowiadać pewnym regułom i zasadom. Spontaniczność w tworzeniu — to odruch wypływający z nagłej potrzeby wypowiedzenia się, wyrażenia doznań; odruch, którego źródłem bywa olśnienie, a który może być spaczony i sztuczny, gdy nagina się go do usztywnionych wymogów konstrukcji. Pogląd ten nie wyklucza bezspornej w swej istocie prawdy o rozwoju osobowości twórczej, która dojrzewając — musi przejść szereg etapów związanych z gromadzeniem doświadczeń i przeżyć, z doskonaleniem warsztatu i zdobywaniem wiedzy o świecie.

Stwarzanie młodym twórcom możliwości szerszego i publicznego wypowiadania się jest jednym ze sprawdzianów ich dotychczasowych osiągnięć, a jednocześnie zachętą do dalszej pracy, której celem powinna być najpełniejsza dojrzałość twórcza. Z tego względu, umieszczenie noworocznej kolumny KKMP na łamach „Widnokręgu" wydaje mi się pociągnięciem słusznym i w pełni usprawiedliwionym. Natomiast problemy poruszone w artykule Tadeusza Piekło, wyzwalającym na pewno szereg dalszych wypowiedzi — powinny znaleźć się w centrum dyskusji, która wciągnęłaby także młodych poetów, a więc ludzi najbardziej zainteresowanych sprawami twórczości.

Fot. R. BILSKI

Rozmowy „Widnokręgu"

„Dom na Pacyfiku"

Rzeszowskie czwartki literackie, organizowane przez Oddział Związku Literatów Polskich i klub „Turkus", zdążyły już uzyskać znaczną popularność, stały się miejscem spotkań ludzi pióra i miłośników literatury. Dziesiąte, „jubileuszowe" spotkanie należało do GERARDA GÓRNICKIEGO, znanego prozaika, mieszkającego stale w Poznaniu i piastującego funkcję prezesa tamtejszego Oddziału ZLP.

Na dorobek pisarski Górnickiego, silnie związanego z Rzeszowszczyznę (urodził się w Strzyżowie i na naszym terenie umiejscawia akcję wielu utworów) składają się dwa tomy opowiadań: „Sybirca" i „Portret kota" oraz powieści: „Powrót Stanleya Kozdry" (dwa wydania), „Spotkanie z Rzymianką" (trzy wydania od roku 1966)! i „Ucieczka na obczyznę".

Korzystając z okazji przeprowadziliśmy z autorem rozmowę na temat jego twórczości:

– We wszystkich pana książkach uderza przede wszystkim autentyzm przeżyć, a co za tym — znaczna siła przekonywania. Nie ma w nich nut fałszywych, wyrozumowanych sytuacji, w których bohaterowie pełnią rolę marionetek. Proponuję więc zacząć rozmowę od pana pisarskiego credo.

— Sądzę, że można mnie zaliczyć do autorów spontanicznych, opierających się bardziej na instynkcie niż na z góry założonej teorii; nie uznaję fikcji, jako jedynego źródła inspiracji. Hołdowanie jej prowadzi bowiem zbyt często do sytuacji sztucznych i potknięć psychologicznych, a konflikty, przeżywane przez bohatera, nie są przekonywające. Natomiast branie za punkt wyjścia rzeczywistości i autentyzmu, częściowo też własnej biografii, pozwala bardziej zbliżyć się do prawdy i uniknąć psychologicznych niekonsekwencji w postępowaniu bohaterów. Konstruując swoje książki w taki właśnie sposób, sprzeciwiam się mitowi o niepoznawalności człowieka. Jestem przy tym zwolennikiem maksymalnej prostoty i komunikatywności stylu.

— Analizę ludzkich postaw i dramatów przeprowadza pan najczęściej w zamkniętym kręgu — rodzinie. Ale pozornie jednostkowe konflikty; ojciec — syn, lub matka — ojciec posiadają w rzeczywistości znaczny ciężar gatunkowy, ojciec bowiem z „Powrotu Stanleya Kozdry" czy „Ucieczki na obczyznę" jednoczy w sobie cechy wszystkich ojców, a matka jest sumą także i innych matek. Sugestywna jest również narracja, prowadzona z reguły w pierwszej osobie...

— Wychodzę z założenia, że w ten sposób — rezygniując z kreślenia dodatkowych wątków, rzucanych na szerokie tło — można najpełniej przedstawić sylwetkę człowieka i pobudki jego działania. Przy tym ten mój „mikrokosmos" jest osadzony w konkretnej rzeczywistości, a więc losy bohaterów i ich przeżycia są w jakimś sensie typowe: staram się w „małym świecie" zawrzeć problemy „świata wielkiego".

— W „Ucieczce na obczyznę" zastosował pan ciekawą koncepcję: akcja rozpoczyna się bezpośrednio przed śmiercią bohatera — Michała Baryły, aby poprzez retrospektywne kreślenie „luźnych" obrazów z jego życia i życia ludzi z nim związanych, dojść do tego samego miejsca. Zgodnie ze słowami Eliota: „Nie ustaniemy w poszukiwaniach, a kresem naszych poszukiwań będzie dojście do punktu, z któregośmy wyszli, i poznanie tego miejsca po raz pierwszy..." Uzyskał pan w ten sposób nową barwę w malowaniu psychiki bohatera. To tak, jakby zagiąć w krąg wstęgę siedmiu barw spektralnych, a na styku czer-

(Ciąg dalszy na str. 8)

KSIĄŻKI

Jan Leżachowski: DOLINA DZWONÓW. Iskry, s. 220, cena zł 12.

Druga z kolei książka młodego pisarza, z wykształcenia — historyka sztuki, z zawodu — nauczyciela. W sposób bezpośredni, a zarazem plastyczny i barwny przekazuje czytelnikowi przeżycia swego młodego bohatera.

Jan Edward Kucharski: ZESZYT Z BRZOZOWEJ KORY. Wyd. Poznańskie, s. 148, cena zł 10.

Autor pochodzi z zadymionego miasta Sosnowca, ale całą swą twórczość poświęca tematyce leśnej i myśliwskiej. Podobnie jest i w pozycji omawianej, gdzie dramat ludzki rozgrywa się w zaciszu leśniczówki, na tle pięknej przyrody.

Janusz Przybysz: ŚWIATEK NASZ KOCHANY. Wyd. Poznańskie, s. 114, cena zł 12.

Ten prawnik z wykształcenia ponad 20 lat współpracuje z prasą, radiem i estradą. Jest autorem licznych opowiadań satyryczno-humorystycznych. „Światek nasz kochany" to trzeci tom jego humoresek.

Władimir Wojnowicz: PRZYJACIELE. Przeł. Irena Piotrowska. „Iskry", s. 182, cena zł 10.

Jeden z ciekawszych i bardzo obiecujących młodych prozaików radzieckich. Cechą tej powieści współczesnej jest umiejętne kreślenie portretów ludzkich, żywy potoczny język, swoisty humor.

Madeleine Riffaud: WŚRÓD WIETNAMSKICH PARTYZANTÓW. Tłum. D. Planer. „Iskry", s. 204, cena zł 10.

Pisarka francuska w okresie wojny brała czynny udział w ruchu oporu. Po wojnie została dziennikarką, obecna była wszędzie tam, gdzie toczy się walka o wolność. Opisuje wydarzenia historyczne, zwykłych ludzi i ich życie. W 1965 roku przebywała w Wietnamie południowym, w jednym z walczących oddziałów Frontu Wyzwolenia Narodowego. Wynikiem jest omawiana pozycja.

Richard Gordon: KAPITAŃSKI STÓŁ. Przeł. A. Strzelbicki. Wyd. Morskie, s. 248, cena zł 17.

Autor znanej u nas powieści „Pan doktor na morzu" prezentuje drugi kolejny utwór. Obyczajowość morska. Postacie w satyrycznym zwierciadle.

Stefan Kołaczkowski: PORTRETY I ZARYSY LITERACKIE. PIW, s. 579, WYSPIAŃSKI, KASPROWICZ. PRZEGLĄDY, s. 570, cena t. I/II zł 95.

Dwa tomy pism wybranych Kołaczkowskiego w opracowaniu Stanisława Pigonia i pod redakcją Henryka Markiewicza. W pierwszym znajdziemy portrety literackie wielkich romantyków, pozytywistów oraz przedstawicieli literatury międzywojennej. Tom drugi, obok analizy twórczości dwóch wielkich poetów okresu Młodej Polski, daje przegląd literatury lat 1919—1933

Julian Krzyżanowski: HENRYKA SIENKIEWICZA ŻYWOT I SPRAWY. PIW, s. 287, cena zł 30.

Drugie wydanie w serii „Ludzie żywi" znakomitej biografii autora „Potopu". Oparta na dokumentach, wzbogacona licznym materiałem fotograficznym praca, przybliża postać pisarza i dzieje rozwoju jego talentu.

Tadeusz Burakowski, Aleksander Sala: RAKIETY — BROŃ XX WIEKU. MON, s. 280, cena zł 14.

Książka daje odpowiedź na szereg pytań, które zadaje sobie współczesny człowiek w związku z pociskami odrzutowymi. M. in. jak się rozwijały dawniej, a jak współcześnie, dlaczego wypierają broń klasyczną, czym różnią się od siebie i które państwa je posiadają.

Iwan G. Horbienko: ULTRADŹWIĘKI I ICH ZASTOSOWANIE. Tłum. J. Baranowski. MON, s. 149, cena zł 8.

Wyjaśniając istotę ultradźwięków autor główną uwagę zwrócił na zastosowanie urządzeń ultradźwiękowych w technice wojskowej, opierając się na publikacjach w prasie radzieckiej i zachodniej. Pisze również o tym, jak wykorzystywane są urządzenia ultradźwiękowe m. in. w przemyśle, rolnictwie, medycynie, chemii i biologii.

Teofil Leśko: SYSTEM KAR SĄDOWYCH W PRAWIE KARNYM WOJSKOWYM. MON, s. 211, cena zł 20.

Autor omawia tu istotę systemu kar i jego genezę w Polsce Ludowej, przemiany w katalogu kar sądowych również w niektórych państwach socjalistycznych i kapitalistycznych oraz czynniki determinujące zakres kar sądowych.

PSYCHOLOGIA KOLEKTYWU ŻOŁNIERSKIEGO. Autor: **A. Barabanszczikow** i in. MON, s. 211, cena zł 26.

Tom wydany w serii „Biblioteki Wiedzy Wojskowej". Omawia m. in. kształtowanie się wzajemnych stosunków żołnierskich w oparciu o wymagania regulaminu, sprawę autorytetu w kolektywie żołnierskim i badań psychiki tego kolektywu.

Nowości „Książki i Wiedzy":

Czesław Niewadzi: PROBLEMY ROZWOJU USŁUG. Kierunki doskonalenia gospodarki między IV a V Zjazdem PZPR, s. 73, cena zł 5.

Sław Krzemień: ZAGADNIENIA WSPÓŁCZESNEJ KULTURY. Wyd. 2, s. 115, cena zł 6. Biblioteka Wychowania Obywatelskiego.

Kartki dla Ewy

BABCIA

Czcimy Meteorologów i Kolejarzy, obchodzimy Dzień Teatru, Włókniarza i Olimpijczyka. Z upodobaniem fetujemy nieletnie dzieci, alpinistów i strażaków. Obchodzą jubileusze hodowcy pieczarek, kanarków i nutrii. Mężczyźni, jak rok długi gromko dopominają się o „Swięto Konia" choć nie przejawiają zbytniej zażyłości z tym zwierzęciem. Wolą wszelkie koty z panterami włącznie. Srednio co dziesiąty dzień jest komuś poświęcony. Ci, którzy mają liczną rodzinę i grono wielobranżowych przyjaciół mogą nie martwić się o utrzymanie i rozrywki kulturalne. Pożywią się u spółdzielców, wzniosą toast za pomyślność marynarzy i rybaków, na grzybki pojadą z leśnikami. Wszystkie „dni" skrupulatnie odnotowane są w kalendarzu, wystarczy podkreślić daty, by się terminy nie pomyliły.

Prócz uroczystości oficjalnych mamy też rodzinne, lub dostępne dla wtajemniczonych pokątne juble jak Swięto Słomianego Wdowca, Entuzjastów Wiśniaku na Rumie i wiele innych.

Wśród nich skromnie i cichutko mija Dzień Babci — wzruszające święto, przed kilkoma laty wylansowane na Sląsku i w Wielkopolsce. Obchodzimy go w dniu 21 stycznia, a godne jest ono spopularyzowania również ze względu na wielu starych i samotnych ludzi. Ile zawdzięczamy babciom wie każdy dobrze. Bez babci trudno byłoby się obejść, gdyż babcia jest istotą niezastąpioną. Dysponuje ogromnymi zasobami energii, czasu i dobrej woli. Jest oszczędna, przewidująca. Przed pierwszym wspiera domową kasę, godzi zwaśnioną rodzinę, zna sztuczki gospodarczo-kulinarne, o jakich się filozofom nie śniło. Czasami o północy ma dla spóźnionych ciepłą kolację, zmarzniętych raczy nalewką, a dzieciom pozwala wyjadać konfitury ze słoików.

Krążą legendy o babcinych kufrach — na pewno są zaczarowane. Śnią o nich wszystkie wnuczki, małe dziewczynki i dorosłe panie, które lada chwila same mogą zostać babciami.

Jeszcze nie tak dawno temu babcia była staruszką w czarnych sukniach z koczkiem na głowie. Życie kończyło się po 50-ce, dalej należało wieść egzystencję leciwej damy. Dzisiaj mamy babcie — emancypantki. Przebrnąwszy zwycięsko przez garnki i pieluchy zajmują nasze mamy odpowiedzialne stanowiska, piastują funkcje i godności, zbierają dyplomy i odznaczenia. Chodzą na odczyty, jeżdżą na wycieczki, bo wnuki, wnukami, ale z życia rezygnować jeszcze nie pora. Niech młodzi wikłają się w codzienne trudy, one mają już prawo być od nich zwolnione. Dlatego też pomoc w naszym gospodarstwie, opiekę nad dziećmi, troskę o zięcia lub synową należy uznać za akt dobrej woli, a nie życiowy obowiązek. O tym trzeba pamiętać nie tylko raz w roku, kiedy z kwiatkiem w garści życzymy sto lat. Stosunek do ludzi starych jest miernikiem cywilizacji, kultury — wszystkiego, czym się szczycą ludzie. Mówimy o tym dużo i głośno, ale w praktyce często dzieje się inaczej. Babcie są pożyteczne póki starcza im sił do pracy. Później niech martwią się o nie inni. I babcie, choć były „babkami" na medal daremnie liczą na tych, którym niegdyś opowiadały bajki o wilkołakach.

BEGA

„Dom na Pacyfiku"

(Ciąg dalszy ze str. 7)

wieni i fioletu powstanie barwa ósma, zupełnie nowa, niemożliwa do uzyskania w inny sposób. Ale czy dzięki tej nowej barwie będzie można w pełni osądzić życie bohatera?

— Narrator szuka materiałów do osądu. Jednak ogarnięcie całego życia Michała Baryły nie jest możliwe, a więc niemożliwe jest także wydanie pełnej oceny. Tym bardziej że bohater posiadał prawo wyboru drogi postępowania według swego subiektywnego punktu widzenia, który trzeba brać pod uwagę. „Nowa barwa" pozwala tylko pełniej zrozumieć jego życie: zabójstwo, wyjazd za granicę w poszukiwaniu lepszych warunków, powrót po wielu latach i niemożność porozumienia się z najbliższymi... Dlatego nigdy nie oskarżam i nie wydaję wyroków na swoich bohaterów; stawiam tylko pytania, poddaję ich postępowanie pod rozwagę, poszukuję prawdy.

— *Z pana utworów przebija wiara w człowieka. I to pomimo tragicznych nieraz losów bohaterów.*

— Uważam, że abstrakcyjne pojęcia etyczne mają odbicie w rzeczywistości, sprawdzają się w życiu człowieka. I człowiek — mimo swych licznych słabości — w ostatecznym rozrachunku, w chwili próby, zdaje egzamin. Nośność światopoglądową moich książek steruję w tym właśnie kierunku. Sprowadzanie roli literatury wyłącznie do negacji — tak obecnie „modne" — jest nieporozumieniem. Pisarz powinien zajmować postawę atakującą i postulującą Chciałbym kiedyś w takim kontekście napisać książkę, odzwierciedlającą w możliwie najpełniejszy sposób naszą rzeczywistość. Byłaby to powieść tzw. polityczna. No, ale to już dalsze plany.

— *A obecnie?*

— W najbliższym czasie ukaże się „Dom na Pacyfiku" — powieść oparta na autentycznym wydarzeniu: aresztowaniu przez hitlerowców 150 krakowskich profesorów i intelektualistów.

— *Tytuł jest chyba przenośnią; Pacyfik, mimo swej nazwy, można uznać za najbardziej burzliwy ocean...*

— Oczywiście; dom — a więc mała grupka ludzi, przeżywająca swe skomplikowane losy na oceanie wojny.

— W imieniu Czytelników dziękuję za rozmowę.

Notował: JULIAN RATAJCZAK

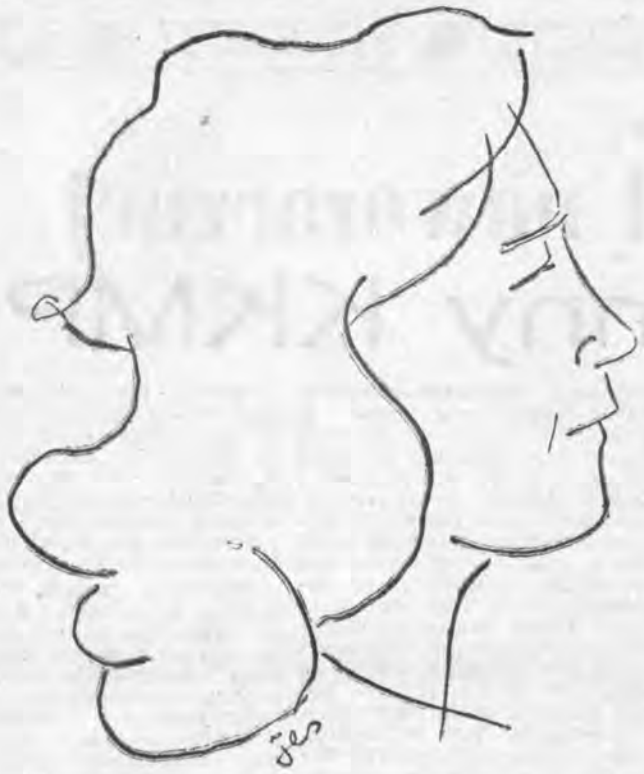

HELENA KNOL — długoletni pracownik Domu Książki.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Na naszym ekranie

Jutro Berlin

Dobrze się stało, że nowy film Jerzego Passendorfera „Kierunek Berlin" wchodzi na ekrany w początkach roku, w którym obchodzimy 25-lecie PRL. Ten fabularny obraz ma bowiem walory dokumentu, a jego bohaterami są ludzie, którzy bagnetem i automatem wykreślali zachodnie granice naszego państwa, przywracając mu zagrabione przed laty ziemie praojców.

Właśnie oni, żołnierze 1 Armii ustawiający nad Odrą słupy graniczne, a następnie własną krwią i niejednokrotnie życiem przypieczętowujący ten akt w walce na śmierć i życie — to najcenniejszy element tego filmu. W ich postaciach twórcy ukazali prawdziwy obraz naszego wojska tamtych czasów, nowy typ bohatera, nawiązujący do najwspanialszych tradycji naszej historii.

Nie ma w tym filmie rezolutów z całą pogardą życia rzucających się w wir boju, zagończyków, dla których wojna jest czymś w rodzaju wielkiej przygody, ani wesołych, śmiałych chłopców brawurowo pędzących przed sobą wroga, zadających mu klęskę po klęsce. Bohaterowie Passendorfera, Żukrowskiego i Załuskiego to ludzie, o których Rosjanie mówią „trużeniki wajny", czego niesposób dosłownie przetłumaczyć na polski, a co oznacza szarych żołnierzy dźwigających codzienne ciężary i trudy walk, wykonawców tego, co zaplanuje i przygotuje dowództwo.

Oto oddział piechoty, kompania zwiadu, na której czele stoją dwaj oficerowie: Rosjanin i Polak. Są tu mieszkańcy terenów zza linii Curzona i ludzie z Kielecczyzny, AL-owski partyzant i warszawski powstaniec, są młodziki i niemal dziadkowie. Nie szukają oni przygód, nienawidzą wojny. Myślami są przy swoich bliskich, niepokoi ich los krewnych rozrzuconych gdzieś po świecie, zastanawiają się już, jak to będzie po wojnie. Niektórzy nie mają już rodzin, bo wymordowane przez okupanta, jest i taki, któremu zabiła syna bratobójcza ręka, hen, na dalekim zapleczu, na wyzwolonych już terenach.

Swoje zadania na froncie traktują tak jak niegdyś pracę w fabryce, czy na roli. Poważnie i sumiennie. Trzeba rozbić wroga, zakończyć wojnę, więc robią dla tego celu wszystko, co do nich należy. Walka nie jest ich żywiołem, ale skoro tak trzeba, dadzą w niej z siebie wszystko co możliwe, nie szczędząc sił i ofiar.

A walka to przecież nie tylko marsz naprzód i zwycięskie: hurraaa! Radość z sukcesu nazbyt często tłumiona jest goryczą śmierci najbliższych kolegów, a koleje bojów także bywają zmienne. Nie zawsze można utrzymać zdobyty teren, czasem trzeba się nawet wycofać, a potem znów zdobywać to, co się poprzednio utraciło.

Obraz tej walki, podobnie jak sylwetki swoich bohaterów twórcy filmu ukazują wiernie, rzetelnie, starając się, by filmowa wizja jak najmniej odbiegała od rzeczywistości. Jest tu dużo rozmachu, sceny batalistyczne imponują ogromem i sprawnością realizacji, zajmują w filmie sporo miejsca, a ich przebieg świadczy, że zwycięstwo nie przychodziło łatwo, że zapłaciliśmy za nie cenę krwi i że trzeba o tym pamiętać.

Warto zobaczyć ten film, warto o nim podyskutować, trzeba pokazać go młodym, by mogli czerpać z niego wiedzę o dniach nie tak przecież odległych, ale dla nich należących już tylko do historii.

KIERUNEK BERLIN. Scenariusz i dialogi: Wojciech Żukrowski i Jerzy Passendorfer. Reżyseria: Jerzy Passendorfer. Zdjęcia: Kazimierz Konrad. Muzyka: Adam Walaciński. Scenografia: Adam Nowakowski. Pirotechnika: Stanisław Wlaźlik. Konsultacja: płk Zbigniew Załuski.

Wykonawcy: kapral Naróg — Wojciech Siemion, szer. Zalewski — Jerzy Jogałła, por. Kaczmarek — Krzysztof Chamiec, szer. Fronczak — Stanisław Milski, kpt. Polak — Mikołaj Rybnikow, plut. Walasek — Marian Łącz.

Na zdjęciu: Wojciech Siemion jako kapral Naróg, w filmie „Kierunek Berlin".

ZDARZENIA TYGODNIA

W niedzielę, tj. 19 bm., w rzeszowskim Domu Sztuki odbędzie się otwarcie wystawy współczesnego malarstwa francuskiego. W uroczystości zapowiedzieli swój udział konsul generalny Francji w Krakowie, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz władz wojewódzkich.

Ekspozycja obejmuje 75 prac czołowych twórców tzw. szkoły francuskiej, a m. in. Hansa Hartunga, Pierre Bettencourta, Rogera Bissierreá, Jean Dubuffeta, Maxa Ersta, Nicolasa de Staëla, Victora Vasarelyégo i Zao-Wou-Ki.

Warto tu nadmienić, że wystawa zorganizowana poprzednio w innych ośrodkach staraniem Ministerstw Kultury Polski i Francji przy współudziale Centralnego Biura Wystaw Artystycznych cieszyła się ogromnym powodzeniem.

Dziś, tj. w sobotę, odbędzie się w Rzeszowie spotkanie przedstawicieli organizacji i instytucji społeczno-wychowawczych, które będą współorganizatorami, ogłoszonej przez CRZZ, imprezy pt. „Karnawał Młodości w 25-lecie PRL".

W tym samym dniu ukonstytuuje się wojewódzki sztab karnawału, który ma zatwierdzić plan działania na okres przygotowawczy, jak również jego trwania (4 kwietnia — 15 czerwca br.), zatwierdzi wytyczne w sprawie powoływania sztabów powiatowych, które będą organizatorami imprez powiatowych i w placówkach

Zgodnie z porozumieniem Zarządów Wojewódzkich ZTA, Wydziałów Kultury WRN i WDK południowych województw (Katowice, Kielce, Kraków, Rzeszów) w dniach 12—13 bm. odbył się w Kielcach międzywojewódzki przegląd amatorskich zespołów teatralnych, tzw. Międzywojewódzka Scena Amatora.

Nasze województwo reprezentował młodzieżowy zespół teatralny PDK w Jaśle, przedstawiając „Dziesiątkę" Edmunda Pietryka, w reżyserii Elżbiety Skrzypeckiej. W imprezie uczestniczyli instruktorzy teatralni WDK, wymienionych wyżej województw oraz członkowie Wojewódzkiego Klubu Reżysera Amatora z Rzeszowa.

Przeglądy innych form teatralnych odbędą się kolejno w poszczególnych województwach.

* * *

Podczas ostatniego koncertu symfonicznego (10 bm.) orkiestrą Państwowej Filharmonii w Rzeszowie dyrygował Zygmunt Hassa — dyrektor Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Zielonej Górze. Orkiestra pod jego batutą wykonała VIII Symfonię L. van Beethovena i Uwerturę do opery „Cyrulik sewilski" G. Rossiniego.

Solistami byli Janina Baster i Janusz Dolny, którzy w duecie (fortepian) wykonali Koncert F. Mendelssohna.

* * *

W ubiegłym tygodniu, staraniem Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego odbyły się w Rzeszowie (dla młodzieży Technikum Samochodowego i I Lic. Ogólnokształcącego), w Pustkowie, Łańcucie (Technikum Mechanizacji Rolnictwa) i w Albigowej koncerty muzyki popularno-rozrywkowej.

Wzięli w nich udział piosenkarze Stenia Kozłowska i Tadeusz Woźniakowski oraz orkiestra Filharmonii pod dyrekcją Tadeusza Chachaja.

* * *

W rzeszowskim Muzeum Okręgowym czynna jest wystawa reprodukcji malarstwa Harmensza Rembrandta van Rijn. Ekspozycja została przygotowana z okazji 3-setnej rocznicy śmierci malarza.

W ubiegły czwartek zainaugurowany został nowy cykl audycji umuzykalniających, organizowanych przez Państwową Filharmonię im. A. Malawskiego w Rzeszowie dla szkół naszego województwa. Tym razem tematem jest opera klasyczna. Ilustratorami są soliści łódzcy, Elżbieta i Eugeniusz Niziołowie.